ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 37

15 WRZEŚNIA 1934 ROKU

KOBIETA I KWIAT

Klasyczny profil Marji Gorczyńskiej, urok wysmukłej ręki i kielich kwiatu

W numerze:

Jan Lorentowicz
Międzynarodowa czy krajowa?

●

Bruno Winawer
Powrót (feljeton)

●

Cyprjan Kamil Norwid
Czarne kwiaty

●

Z. Norblin-Chrzanowska
Różne metody

●

S. Kuszelewska
Wymagać! (z ilustr. S. Norblina)

●

J. M. Taylor (nowela)
Jak praczka z królem rozmawiała

●

Konkurs na plakat
Wydziału Turystyki Min. Komunikacji

●

Uroczystości w Budapeszcie
Korespondencja „Świata"

●

Świat książki

●

Challenge

●

Tydzień „Świata"

●

Teatr

●

Sport

A. K. SEMAT

GAZETA WARSZAWSKA

ZAŁOŻONA W R. 1774

ORGAN KIERUNKU NARODOWEGO

Każdy numer zawiera obszerne informacje

o sprawach politycznych w kraju i zagranicą, wiadomości z dziedziny kultury i sztuki, bogatą kronikę stołeczną i prowincjonalną, wiadomości ekonomiczne, sport, rozrywki umysł. i t. p.

Co tydzień 3 dodatki

w niedziele: ilustrowany i naukowo-popularny

w poniedziałki: powieściowy w formacie książkowym

PRENUMERATA

z odnoszeniem do domu lub z przesyłką pocztową miesięcznie zł. **5**

dla urzędników państwowych i samorządowych, nauczycieli, wojska i emerytów — miesięcznie zł. **3.75**

REDAKCJA I ADMINISTRACJA — WARSZAWA, ZGODA 5

Skrz. poczt. Nr. 150 **Konto P. K. O. Nr. 104**

Wywczasy Jana Kiepury na Lido

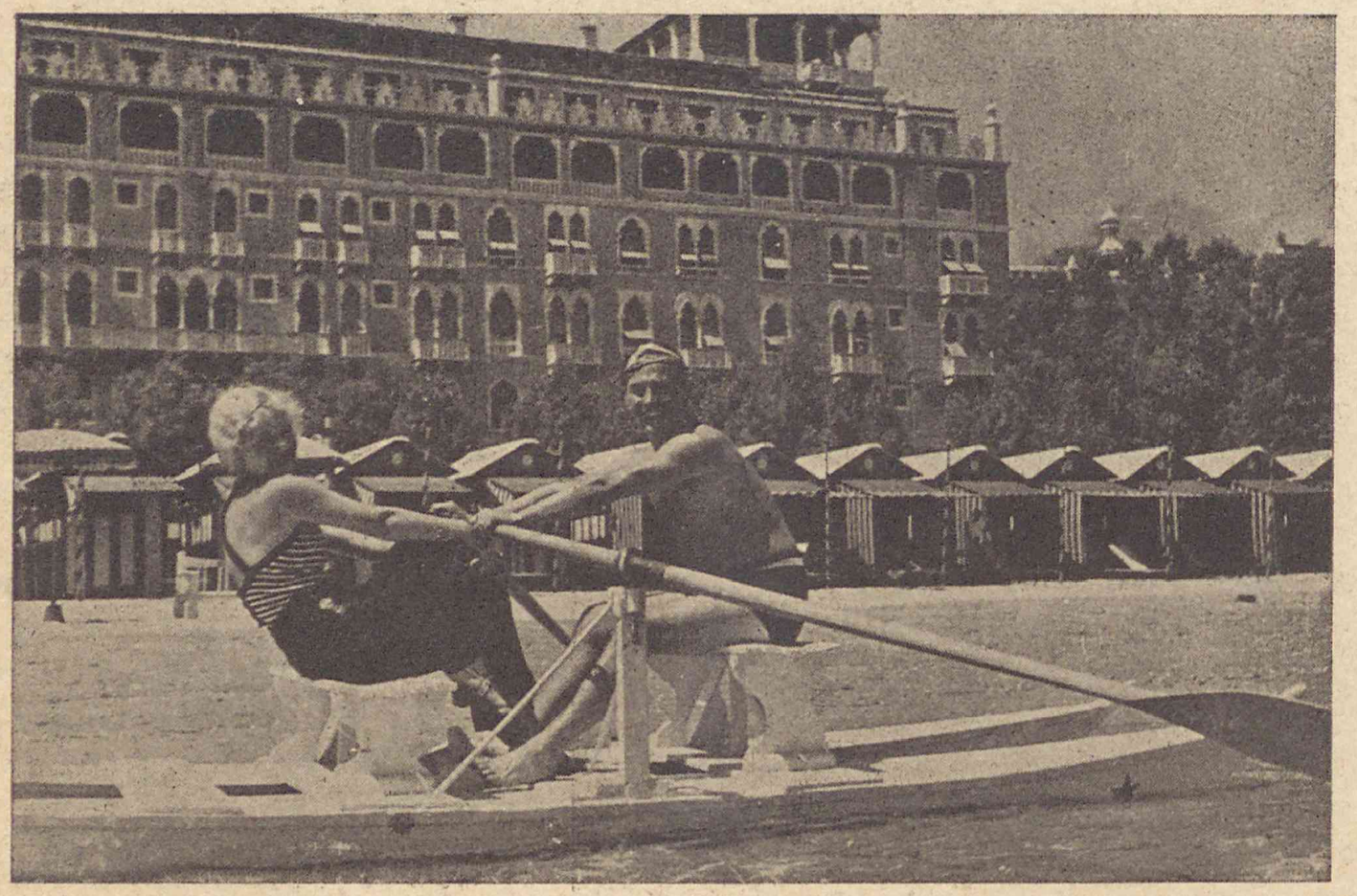

CHALLENGE

Medal pamiątkowy na Challenge 1934

Bawełna do cerowania i nici „TRZYLILJE"

KRAJOWY PRZEMYSŁ NICIANY. WARSZAWA.

PRZY ZABURZENIACH W TRAWIENIU, PRZEWLEKŁYCH, UPORCZYWYCH ZAPARCIACH STOLCA, ORAZ PRZY NADMIERNEJ OTYŁOŚCI, STOSUJE SIĘ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, ŁAGODNIE PRZECZYSZCZAJĄCE

„SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA"

„GĄSECKIEGO (z KOGUTKIEM.)

MEBLE

gwarantować może tylko własna wytwórnia. Stołowy 14 sztuk 430. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinety 460. Salony, machoń 10 sztuk 220. Złocony, orzechowy, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otomany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyścielane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki

OLKOWSKI Nowy Świat 12, tel. 9-10-93 (firma chrześcijańska).

ADRIA
CAFÉ - DANCING
WARSZAWA, MONIUSZKI 10
POD DYR. FR. MOSZKOWICZA
OTWARCIE SEZONU!!!
4 ORKIESTRY: MELODYSTA, FLATO, KARASIŃSKI I KATASZEK, FRONT-HEYMAN 4
Codziennie five o'clocki z całym programem.
W soboty, niedziele i święta
PEŁNY PROGRAM
w kawiarni od godz. 6 do 8 wiecz.

ŚWIAT
REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXIX. Nr. 37 15.IX.1934

Zachowajmy jaknajdłużej świeżość jaką nam dał wakacyjny wypoczynek!

Uda nam się to jeżeli nie zaniedbamy racjonalnej pielęgnacji twarzy. Podstawą racjonalnej pielęgnacji jest mycie się wyłącznie Mydłami Przetłuszczonemi M. Malinowskiego, niewyjaławiającemi naskórka, zapobiegającemi jego przesuszeniu i zwiotczeniu. Przed wyjściem na ulicę niezbędne jest wtarcie w twarz odrobiny „Kremu Sportowego" M. Malinowskiego. Na noc po dokładnem umyciu twarzy w ciepłej wodzie „Krem Lanolinowy" M. Malinowskiego. Pudru powinno się używać tylko we dnie i wyłącznie „Pudru Hygienicznego" M. Malinowskiego.

Warszawa
Apteka, ul. Nowy Świat 31
Laboratorjum Chem. Farm.
ul. Chmielna 4

3-a filja ZIEMIAŃSKIEJ
JEROZOLIMSKA 8
między Bracką a Nowym Światem

PIWO PORTER
WÓDKI LEMONIADY
HABERBUSCH i SCHILE S.A.
KONIAK „MARTEAU"
dla znawców

DBAJMY O ZĘBY!
DENTOLIN
KARPIŃSKIEGO
JEST NAJLEPSZĄ Z PAST,
BO NIE ZAWIERA MYDŁA.

JAN LORENTOWICZ

MIĘDZYNARODOWA CZY — KRAJOWA?

Magistrat warszawski zostawił po sobie w spadku ponętny projekt: stolica Polski *powinna* zorganizować u siebie na rok 1943, t.j. na dwudziestą piątą rocznicę niepodległości, — powszechną wystawę międzynarodową. Tak orzekli panowie, którzy, w swej megalomanji, opiekowali się (nieproszeni) sprawami ogólnej kultury narodowej, a nie byli w stanie wykonać najpospolitszych obowiązków gospodarczych. W ciągu szesnastu lat nie zdołali wybrukować ulicy przy placu Piłsudskiego, zalegali z pensjami urzędników po pół roku, ale rozpoczęli (i przerwali) budowę Muzeum Narodowego i kilku innych instytucyj; przejęli pod swą opiekę Operę i zniszczyli ją doszczętnie; przejęli teatry dramatyczne, które wkońcu oddali w niefortunną dzierżawę prywatną.

Z taką samą lekkomyślnością zainteresowali się pomysłem wystawy powszechnej w Warszawie. Ktoś przyniósł wiadomość, że *musimy* taką wystawę urządzić w r. 1943, inaczej bowiem, według konwencji międzynarodowej (?), możemy otrzymać inny termin dopiero... w przyszłym wieku. To także osobliwa racja.

Ani rząd, ani Sejm nie wypowiedziały się jeszcze oficjalnie w tej sprawie. Niema ani dojrzałego planu całego przedsięwzięcia, ani — rzeczy najważniejszej: budżetu. Nie wiadomo, kto weźmie za to wszystko odpowiedzialność na siebie, kto i z czego dostarczy środków na organizację całości. Wiemy dobrze, że środków takich nie posiada ani zrujnowane miasto, ani Skarb Państwa. Wiemy również, że końca kryzysu nie widać, a konjunktury polityczne mało zachęcają do ryzyka tak ogromnego. Tych wszystkich zagadnień nie bierze się pod uwagę. Dyskusja publiczna nad projektem zaczęła się od końca, t. j. od rozważania interesujących pomysłów architektów. Tymczasem wartoby się zastanowić, czy Międzynarodowa Wystawa Powszechna w Warszawie, w terminie zamierzonym, jest wogóle *możliwa?*

Dwa są niezbędne warunki, aby się wystawa powszechna *udała:* sposób jej organizacji oraz dostateczna atrakcyjność miasta, w którem taka wystawa ma być urządzona. W przeciągu XIX wieku odbyły się w Europie, Ameryce i Australji 24 wystawy powszechne, z których połowa nie miała wcale powodzenia. Statystyka wystaw udanych (chociaż deficytowych) przedstawia się tak:

	Ilość wystawców:	Ilość widzów:
Londyn	(1851)—17.000	6.000.000
Paryż	(1855)—24.000	5.150.000
Londyn	(1862)—27.500	6.000 000
Paryż	(1867)—42.217	11.000.000
Wiedeń	(1873)—42.000	7.255.000
Filadelfja	(1873)—27.000	10.165.000

Paryż	(1878)—	52.835	16.100.000
Sydney	(1879)—	9.345	1.117.500
Melbourne	(1880)—	12.792	1.330.000
Antwerpja	(1885)—	14.472	1.537.000
Paryż	(1889)—	55.986	33.000.000
Chicago	(1893)—		27.477.212
Paryż	(1900)—	76.000	36.000.000

Wykaz ten informuje dokładnie o rosnącej wciąż ilości wystawców, ale niewiele mówi o ilości *cudzoziemców*, którzy zwiedzili daną wystawę. Tego się nie da skontrolować. W każdym razie na tych cudzoziemców liczy się bardzo i czyni się wszystko, aby przywieźli ze sobą i wydali dużo pieniędzy. Okazuje się, że z każdą nową wystawą powszechną rośnie niezadowolenie z *formy* jej urządzenia. Najwięcej zastrzeżeń wywołała ostatnia wystawa paryska, rozłożona na 232 hektarach. Architekci wysilali się na oryginalne i piękne pawilony, ale wnętrza nużyły niesłychaną ilością nagromadzonych przedmiotów, nadesłanych przez 76.000 wystawców. Był to, pomimo wszelkie pretensje, olbrzymi bazar, który się oglądało powierzchownie i pospiesznie. Organizatorowie zdawali sobie sprawę, że tylko niektóre fragmenty wystawy mogą zająć tego lub owego widza; inne zaś przebiegał, jak wielkie sklepy hurtowe. Urządzono więc na wystawie paryskiej t. zw. *atrakcje* prywatnych przedsiębiorców, którzy płacili drogo za miejsce, więc pobierali wysokie ceny za bilety wejścia. Jeden z dziennikarzy francuskich obliczył, że jednorazowe obejrzenie „atrakcyj" wystawy paryskiej 1900 r. kosztowało 380 franków. Pomimo to, publiczność przesiadywała głównie w lokalach „atrakcyj", nie zaś w pawilonach wystawy. Zresztą i właściciele tych przedsięwzięć atrakcyjnych zbankrutowali niemal wszyscy, bo goście wystawowi woleli bawić się w lokalach bulwarowych. Rząd francuski doszedł do wniosku, że urządzanie wystaw powszechnych co jedenaście lat chybia celu, a pod względem gospodarczym nie przynosi takich korzyści, jak się spodziewano. To też w r. 1911 nie było już w Paryżu wystawy powszechnej, jakby wypadało z ustalonej tradycji. A jednak Paryż, zarówno przez swe położenie geograficzne, jak przez bogactwa swej kultury i czarodziejstwa swych ponęt rozmaitych, najbardziej nadaje się w Europie na urządzanie wystaw międzynarodowych. Bardzo wielu gości cudzoziemskich, którzy przyjeżdżali na wystawę, obejrzeli ją pospiesznie w ciągu jednej, kilkogodzinnej wizyty, a cały czas spędzali w Paryżu, bo tam mieli istotnie *wystawę* stałą życia, nieistniejącego nigdzie na świecie w tej skali i w tak czarującej formie. Tak samo mogła mieć jeszcze rację wystawa w Wiedniu, Londynie, Barcelonie, Brukseli (w roku przyszłym), a nie miałaby np. racji w Berlinie.

Przypuśćmy, że okoliczności złożą się tak szczęśliwie, że rząd i miasto wydadzą te 100 czy 150 miljonów, jakie będą potrzebne na urządzenie wystawy powszechnej w Warszawie. Przypuśćmy, że wielkie państwa obce dadzą się zjednać, aby na naszej wystawie wybudować własne pawilony i znajdą się pieniądze (nie wiadomo skąd?) na różne inwestycje, związane bezpośrednio z wystawą. P. W. K. w Poznaniu dała świadectwo, że możemy urządzić wystawę na mniejszą skalę nie gorzej, niż to robią u siebie cudzoziemcy. Ale jeżeli wystawa ma mieć charakter *międzynarodowy*, t. j. liczyć w znacznej mierze na przyjazd gości zagranicznych, to przecież trzeba tym gościom dać coś więcej poza *jarmarkiem* wystawowym. Staje przed nami pierwsze pytanie: gdzie ich pomieścimy, skoro mamy w Warszawie trzy większe hotele i dwa—trzy mniejsze, możliwe do zamieszkania? Wybudujemy nowe hotele? Za czyje pieniądze? Kto zaryzykuje takie wydatki na kilka miesięcy? A potem nasuwa się pytanie drugie: co pokażemy w Warszawie cudzoziemcom? Zaczęte Muzeum Narodowe, Zachętę, Ips—w dziedzinie sztuki; gmachy ministerjalne, Bank Gospodarstwa Kr. i P.K.O., „drapacz nieba" na placu Napoleona — w dziedzinie architektury; Zamek królewski i Łazienki; kilka instytucyj naukowych i kulturalnych; kilka restauracyj i — wiele dancingów. Czy to wystarczy na tydzień pobytu w stolicy Polski? A jeżeli zechcą wyjechać w okolice Warszawy, to co im poradzimy, poza Wilanowem?

Nie łudźmy się: Warszawa ma wprawdzie 1.200.000 mieszkańców, ale w tem — jedną trzecią żydów, żyjących we własnej dzielnicy. Urządzenia hygieniczne mamy ubogie i nieszczególne. Ruch ludności kulturalnej skupia się na dwóch, trzech ulicach. Widowisk teatralnych cudzoziemiec nie zrozumie; pozostanie mu Opera, której rząd przejąć nie chce, więc instytucja ta borykać się będzie dalej z trudnościami. Miasto, zwłaszcza na bocznych ulicach, wygląda nędznie i brzydko. Żadnych ponętnych widoków, żadnych dostępnych dla cudzoziemca rozrywek. Jakież mamy nadzieje, że te wszystkie rzeczy zmienią się zasadniczo w ciągu lat dziesięciu?

Sądzę, że narazie należy *wyperswadować sobie wystawę powszechną w Warszawie* z okazji dwudziestopięciolecia niepodległości. Nie wystarczy cudzoziemcowi oglądanie samej wystawy, gdyby nawet dało się uniknąć w jej urządzeniu dotychczasowych, okropnych, morderczo nużących szablonów. Stolica po wielu dopiero latach wytężonej pracy całego narodu zmienić może swą fizjonomję tak, aby się stała atrakcją dla obcych. Dziś jest miastem, które zaborca zostawił w ruinach albo w celowem zeszpeceniu i zaniedbaniu. Wydobywa się z największym wysiłkiem z tego stanu.

Nie znaczy to, że należy zaniechać wystawy pamiątkowej wogóle. Przykład Poznania był imponujący, pomimo wszelkich zastrzeżeń. P. W. K. stała się ważnem „pokrzepieniem serc" w dziejach powojennych. Zsyntetyzowanie wszystkich naszych wysiłków kulturalnych w porządnie zorganizowanej powszechnej Wystawie Krajowej w r. 1943 może odegrać ogromną rolę we wszystkich dziedzinach naszego życia. Będzie dumą starszego pokolenia, świetną szkołą energji dla młodzieży. Powinno się przedsięwzięcie to obmyślać przez całe lata i przygotować je naprawdę wzorowo. Okażą się, oczywiście, niezbędne niektóre prowizoryczne urządzenia dekoracyjne wystawy. Ale i w tem nie należy naśladować szablonowych wzorów. Tyle jeszcze gmachów potrzeba Warszawie, że organizatorowie urzędowi wystawy powinni budować na wystawę gmachy *stałe*, które później służyć będą dla właściwych celów kulturalnych. Studjowanie tych spraw rozpocząć należy niezwłocznie po zaniechaniu mrzonek o wystawie *międzynarodowej*. Nowa P. W. K. stać się winna dziełem monumentalnem dla przyszłej Polski.

WCZORAJ I DZIŚ W GENEWIE

Z inicjatywy Brianda Niemcy weszły do Ligi.

Barthou omawiał z Litwinowem wejście Sowietów do Ligi.

Doroczna sesja Ligi Narodów rozpoczęła się. Otworzył ją min. Benesz mową polityczną, w której dał obraz ogólnego stanu Europy i świata, wyliczając trudności, kłopoty i konflikty zagadnień międzynarodowych.

W tej chwili centrum zainteresowania stanowi sprawa przyjęcia Sowietów do Ligi Narodów.

Po poufnej dyskusji na temat zasadniczych stanowisk przyszły zagadnienia procedury. Procedura to ulubiony temat genewskich dyplomatów. Proceduralnie zbawili już oni cały świat — niestety życie mało się chce do tej procedury stosować i ciągle nas niepokoi i nęka. Mecenasi dyplomacji stylizują paragrafy genewskie, a życie idzie swoją drogą, drwiąc z mędrkowania i mydłkowania dyplomatycznego.

Ongiś na wniosek Brianda i zgodnie z jego programem Liga przyjęła w poczet swych członków

Ministrawie Beck i Benesz długo konferowali ze sobą.

Niemcy — które trzasnąwszy drzwiami opuściły ją po paru latach!

Dziś na wniosek inicjatywy Barthou — Liga ma przyjąć Sowiety.

Czyż można wobec tego nie uważać dyplomatów za super - optymistów?!

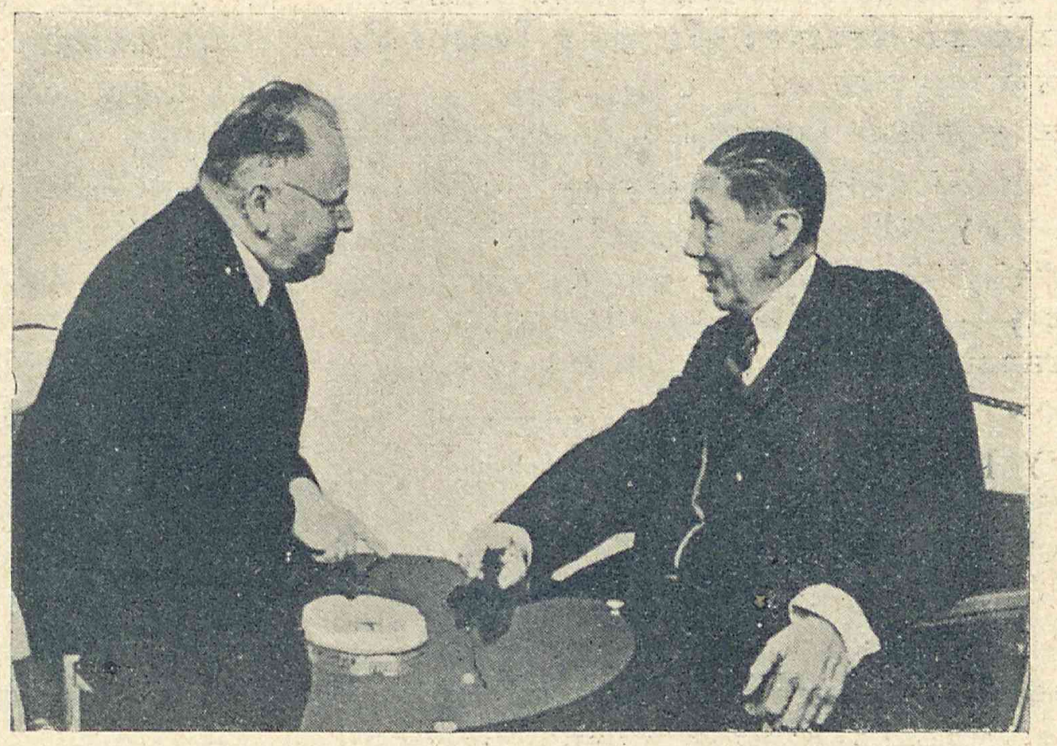

Titulescu też dzieli się swemi zastrzeżeniami z Litwinowem.

Briand dziennikarzom nie skąpił wyjaśnień

BRUNO WINAWER

POWRÓT

Wracaliśmy dawniej do miasta nawet my — ludzie mniej więcej dorośli — jak dzieci do szkoły. Trochę żalu, że to już minęło, trochę podniecenia i radosnej tremy: jak też to dalej będzie? Co wystawią w teatrze? *(Podobno geografja to ciekawy przedmiot?).* Co się stanie w polityce? *(Mówią, że nowy gospodarz klasy nie sadza do kozy za spóźnienie).* Czy też konjunktura się poprawi? Czy wszystko wreszcie ruszy z miejsca? Co uchwalą w Genewie? *(Podobno ciocia Fela zobowiązała się dobrowolnie, że będzie dawała pięć złotych tygodniowo na kino i drobne wydatki)....*

Dziś — żal został, ale trema radosna gdzieś się zapodziała. Miasto dla nas — ludzi dorosłych — straciło urok. Patrzymy ponuro na własną walizkę, słuchamy, jak pociąg dudni, czujemy boleśnie, jak się dystans zmniejsza... Konjunktura? Kryzys? Gazety? Teatr? Polityka?

O ileż to milej przysłonić nieco oczy dłonią, popatrzeć, czy góry są bliskie, czy jutro będzie deszcz czy pogoda, czy można się będzie zapuścić dalej czy tylko do doliny. Rewja, kabaret? Przez tydzień największą sensacją wieczoru był Mars czerwony na niebie, albo księżyc w lisiej czapie.

Pamiętam — dawno już temu— któreś tam wakacje poświęciłem wyłącznie mrówkom. Pędziłem już rano do lasu z pudełkami, szufelkami, drucikami. Wymyśliłem własną metodę, zabierałem „jajeczka" mrówkom czarnym i podrzucałem je zachłannym mrówkom czerwonym, stawiałem rozmaite przeszkody wojowniczym rabusiom i badałem spryt i inteligencję rudych gangsterów.

Moi znajomi zrozumieć wówczas nie mogli tej pasji, uśmiechali się, pukali palcem w czoło. Dorosły człowiek nad mrowiskiem? Zaraz po śniadaniu? Posądzano mnie o to i owo, ruszano ramionami...

Dziś nikt z takich zamiłowań nie kpi. Mieszczuchy na wsi mówią i rozprawiają o wulkanicznem pochodzeniu gór, o warstwach geologicznych, o zwyczajach ptaków, o energji potoków, o ciepłych wiatrach halnych. Ludzkość skompromitowała się tak straszliwie w ostatnich czasach, że zupełnie innem okiem patrzymy na pstrągi, łososie, bociany, motyle. Mówimy o ich nałogach i trybie życia poważnie, z lekką zazdrością. Mamy dla nich szacunek i wyrazy uznania... Wybitny przemysłowiec zachwyca się szczerze organizacją pracy u owadów, dyrektor biura podróży podziwia doskonale obmyślony odlot bocianów, inżynier jest oszołomiony potęgą i żywą siłą Bystrego Potoku.

I rzecz ciekawa: co sezon z pstrokatego, mętnego tłumu przyjezdnych ktoś zostaje w wielkiej dolinie tatrzańskiej, opada na dno. Tworzą się z ludzi jakgdyby warstwy geologiczne, t. zn. *osady* (aluwja). Lat temu ze dwadzieścia osiedlił się tu np. wybitny muzyk - pianista. Do niego zaczęli ściągać uczniowie z różnych stron świata. Ale i z tych uczniów ten i ów „osiada" nagle i niespodzianie. Czasem pokażą ciekawemu przybyszowi na werandzie „Morskiego Oka" albo w parku miejskim zdumiewającą *formację geologiczną:* ta śniada pani przyjechała z Boliwji i siedzi już dwa lata, ten bardzo przystojny czarny młodzieniec należy do t. zw. górnej kredy, utknął, został, tworzy warstwę, do którejby można przyczepić nawet jakiś dłuższy termin naukowy, gdyby człowiek miał encyklopedję pod ręką.

Powstają grupy — powiedzmy „kenozoiczne" — z malarzy, muzyków, studentów, którzy tu zostają, robią pocztówki, dają lekcje i żyją. Osiedlają się powieściopisarze, feljetoniści, brydżyści, wróżbici, fotografowie i fordanserzy.

Filmy nadchodzą trochę później i trochę są zdarte, ale czy to aż tak wielka strata, że człowiek spragniony wrażeń na „Csibi" poczeka ze dwa kwartały? Gazet jest aż za wiele, głośnik na środku ulicy głównej krzyczy, wydziera się i zawiadamia chrapliwie o tem, co najważniejsze.

Więc — właściwie — co takiego daje wielkie miasto, jaką ma wyższość nad zapadłą prowincją, co nas tu czeka w gwarze, rejwachu, turkocie, ryku trąb samochodowych, co nam się objawi w obłokach kurzu? Zobaczymy Sontaga z Mitwochową, dowiemy się, że Sobocińscy już—koniec, a Czwartkowski wciąż jeszcze nic nie spostrzegł. Powiedzą nam, że Donerstag prawdopodobnie nie wytrzyma i splajtuje, Zyzio wyjedzie na placówkę, Lita wystąpi na Hożej, Rita na Karowej, Nita w filmie dźwiękowym. Że Koczubej straci posadę, a Cacko napisał sztukę. Że „Gwiazda Poranna" będzie wychodziła w nocy, a „Wieczór" będzie miał dodatek tygodniowy, wieczorny i poranny. Opowiedzą nam kilka żarcików, trochę tylko przerobionych przez firmę „Sabina" ze starych kapeluszy. Tu dodadzą wstążkę a tam piórko, obetną rondo i będą wmawiali, że to nowy fason.

Rzecz zdumiewająca: dawniej prowincja żyła plotką, czekała, jak kania na deszcz, na wieść radosną, z kim ...ska, z kim ...ski, jak to było z ...amem w Paryżu. Dziś oglądamy w Szaflarach nowe brózdy i głębokie kanjony wyorane przez strumienie tatrzańskie, mówimy w Nowym Targu o potędze żywiołów i epokach lodowcowych. Bukowina interesuje się gwiazdami, podróżami na Marsa i wyspami kosmicznemi. W Strążyskiej czekają na wieści ze stratosfery i z głębin oceanu.

Tak się jakoś odwróciło, że właśnie człowiek z wielkiego miasta jest teraz prowincjonalistą. Je byle co z kotła w barze na placu i gada byle co w sąsiedniej kawiarni. Kiedy pojedzie na wieś —nikt go o nic nie pyta i nikomu by zresztą nic powiedzieć nie umiał. Jego repertuar — Nita, Rita, Mitwochowa, Sobocińscy — traci sens już na pierwszej większej stacji kolejowej. Jego przeboje i szlagiery dotarły przed nim do najbardziej zapadłego kąta. I teraz dopiero widać, że to tandeta.

Zdaje mi się, że na prowincji lepiej od nas tańczą, lepiej grają w brydża. Łowią pstrągi na sztuczne muchy.

Mybyśmy tego nie potrafili. Zatraciliśmy wszelki spryt — pstrągi są od nas chytrzejsze.

MORSKIE OKO

Fot. J. Jaroszyński

PIĘKNA JESIEŃ W TATRACH

ZACHÓD SŁOŃCA

Fot. A. Wieczorek

F. Kostrzewski — „Odpust na wsi" — (Ze zbiorów Tow. Zachęty)

A. Kotsis — „Pisklęta" — (Ze zbiorów Tow. Zachęty)

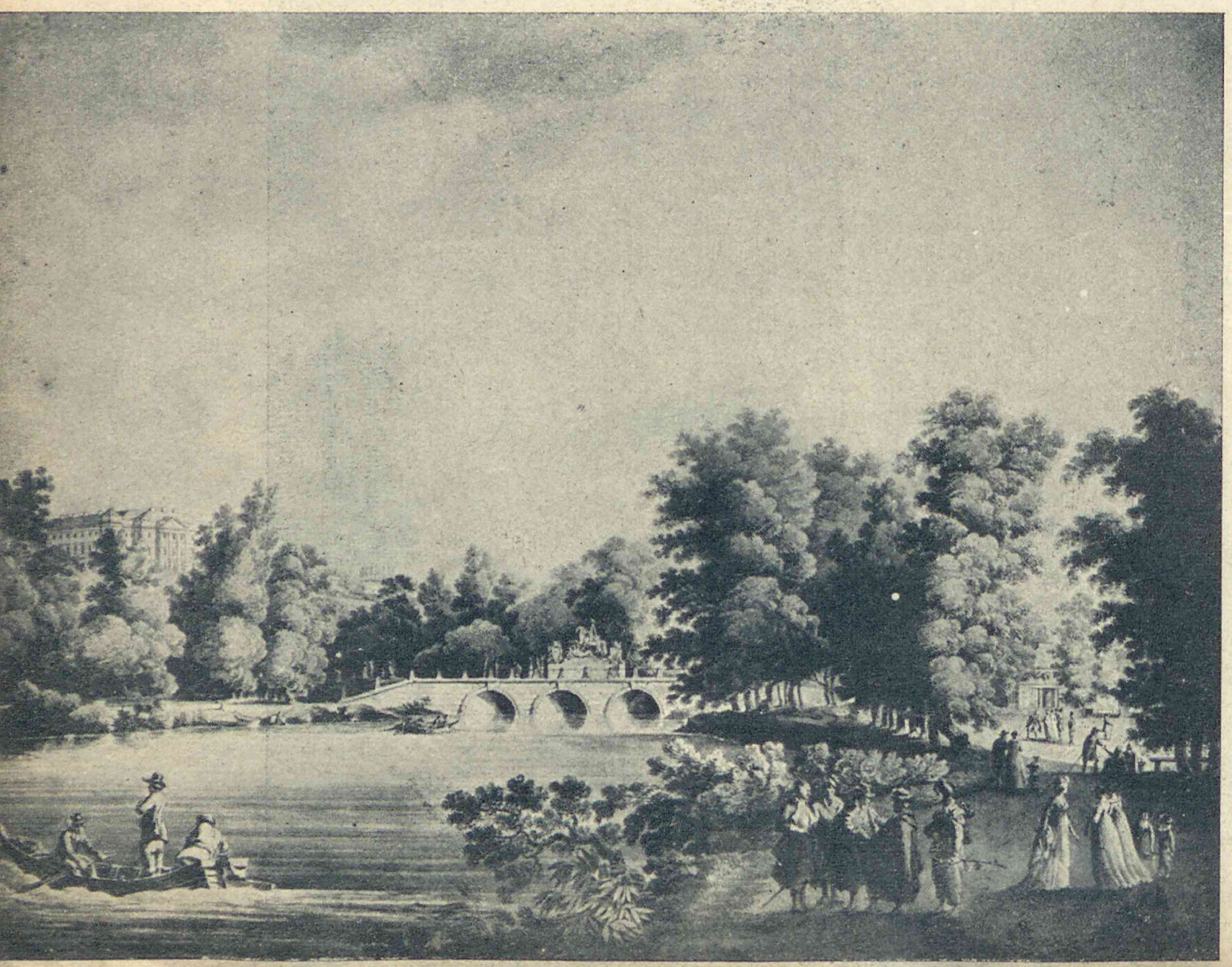

Z. Vogel — „Łazienki" — (wł. Zbiorów Państwowych)

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

RÓŻNE

(uwagi na marginesie

Cennym niewątpliwie zaczynem — nawet w dziedzinie kultury — jest współzawodnictwo. Czasem jednak wyszłoby na dobre obu konkurentom podanie sobie ręki, chociażby na krótko, i wykonanie powziętego planu w harmonji, ze ściśle przeprowadzonym podziałem zadań i ról.

Tak jest tym razem z Zachętą i Ipsem. Obie te instytucje zorganizowały na czas przyjazdu Polaków z Zagranicy wystawy malarstwa polskiego na temat Polski, jej życia i jej ludu. W rezultacie każdy z tych pokazów zyskałby na połączeniu z sąsiadem, już chociażby dlatego, że cały szereg nazwisk malarzy powtarza się i tu i tam. Na 46 artystów reprezentowanych w Ipsie aż 29 nazwisk znajdujemy i w katalogu Zachęty. Niewątpliwie pokaz połączony wypadłby znacznie bardziej pouczająco. Bo zawieszone razem dzieła Juljusza Kossaka z Ipsu i z Zachęty dałyby jeszcze pełniejszy obraz tężyzny tego świetnego koniarza, tak jak umieszczone obok siebie kicze Wojciecha Kossaka jeszcze mocniej uwydatniłyby zdawkowość jego roboty. Wykończone prace Kotsisa z Zachęty byłyby jakby objaśnieniem jego szkiców z Ipsu, a świetny „Odpust" Kostrzewskiego, który podziwiamy w Zachęcie, dałby widzom z Ipsu pochlebniejsze pojęcie o tym karykaturzyście, który i w malarstwie „rodzajowem" miał wiele do powiedzenia. Tak samo wspaniałe dzieła Rodakowskiego z Ipsu, zwłaszcza pełen charakteru portret męski, dodałyby blasku mniejszym jego pracom, zawieszonym w Zachęcie. Żywe i wyraziste dzieła Orłowskiego w Ipsie — szczególnie piękna akwarela, którą reprodukujemy — zrehabilitowałyby zimne jego architektury z Zachęty, a znowu złociste widoki Marcina Zaleskiego — (np. „Zamek Warszawski od strony Wisły") — stanowiłyby pomyślny komentarz do bardziej suchych prac jego w Zachęcie.

Słowem — na połączeniu i rozumnem rozsegregowaniu zdobytego materjału zyskałyby obie wystawy. Można było w jednym lokalu urządzić pokaz malarstwa retrospektywnego, w drugim współczesnego. W żadnym jednak razie nie było wskazane rozstrzelenie energji, idących przecież tym razem zupełnie równolegle ku jednemu celowi.

Trudność połączenia tych wystaw polegała może na różności metod, z jakiemi do ich organizowania przystępowano.

Zachęta poszła po linji mniejszego oporu — i na trzysta prac wystawionych dała około setki obrazów z własnych zbiorów. Naturalnie łatwiej jest przewiesić obrazy z jednej sali do drugiej, niż mozolnie je wyszukiwać po prywatnych kolekcjach.

Stało się jednak może o tyle pomyślnie, że wystawiono przynajmniej z zakresu sztuki retrospektywnej kilkadziesiąt dzieł dobrych—dzieł, które Zachęta drogą

METODY

wystaw w IPS'ie i w Zachęcie).

darów, jak wiadomo, otrzymała od kolekcjonerów z całej Polski.

Druga setka obrazów w Zachęcie wydobyta jest wprawdzie ze zbiorów prywatnych, ale są to zbiory warszawskie, a zatem większość tych dzieł znana jest szerszemu ogółowi z różnych wystaw. Są to jednak dzieła artystów wybitnych, jak: Chełmoński, Fałat, Noakowski, Podkowiński — (bardzo piękny „Staw"), — Szermentowski, Wyczółkowski, Zaleski.

Trzecia kategorja prac — mogła tym razem wogóle w Zachęcie nie figurować. Podniosłoby to całość wystawy i oszczędziłoby stałym wystawcom Zachęty niepochlebnego porównania z mistrzami dawniejszymi.

Cóż powiedzieć o organizacji wystawy, która już przy doborze dzieł wykazała dużą chwiejność i niejednolitość poziomu?

Organizacja ta byłaby zabawna, gdyby nie była tak smutna. Oto na drzwiach poszczególnych sal czytamy tak zdefinjowane „kategorje" malarskie: „NIZINY", „GÓRY", wreszcie najkomiczniejsze: „MORZE I RZEKI" — słowem, element mokry...

Dla kogo przeznaczono taki podział?

Niestety, Zachęta nie chce wiedzieć, że obrazów nie rozwiesza się według *tematów*, lecz według *autorów*. Wystawa o charakterze retrospektywnym może i powinna mieć znaczenie kształcące, którego w obecnej formie nie spełnia ani trochę.

Niektórych grzechów Zachęty uniknął IPS. Przedewszystkiem zadano tam sobie wielki trud zdobycia ze zbiorów prywatnych dzieł przeważnie zupełnie nieznanych a godnych poznania. Wydobycie ich stanowi poważną zasługę głównego organizatora wystawy hr. Jana Tarnowskiego. Jemu to zawdzięcza IPS użyczenie dzieł ze zbiorów Potockich z Krzeszowic, Tarnowskich z Dzikowa i z Suchej, i wielu innych kolekcjonerów z Krakowa i Warszawy. Tak powstała wystawa niezmiernie interesująca, z samych prawie wybitnych dzieł retrospektywnych złożona (Recenzję z niej zamieściliśmy w „Świecie", w Nr. 32 r. b.).

Juljusz Kossak — „Kawalkada przed pałacem"—(wł. hr. Potockich z Krzeszowic)

I wszystko byłoby jaknajlepiej, gdyby nie ten nieszczęsny sposób rozwieszania obrazów! Jakże przykro jest wybijać drzwi, które już wszędzie w środowiskach artystycznych Europy naoścież są otwarte... Chodzi znów o to, że różne dzieła jednego malarza rozrzucone są po wszystkich kątach wystawy, że obrazy porozmieszczano według wielkości i formatu, dążąc do stworzenia harmonijnej dekoracji ścian, a nie kierowano się wcale kryterjami ważniejszemi: mianowicie chęcią umożliwienia widzowi lepszego poznania prac każdego artysty. Ten przedziwny upór, stosowany nagminnie w warszawskich salach wystawowych, niczem się nie tłomaczy. Chyba tem, że rozwieszanie obrazów powierza się woźnym, którzy, zacności ludzie, mają przecież taki pogląd na obrazy: „ten do tego pasuje, bo ramy mają jednakowe"...

A. Orłowski — „Ogrodniczek"
(wszystkie zdjęcia E. Koch)

M. Zaleski—„Zamek Warszawski od strony Wisły"—(wł. p. Bryndza-Nacki)

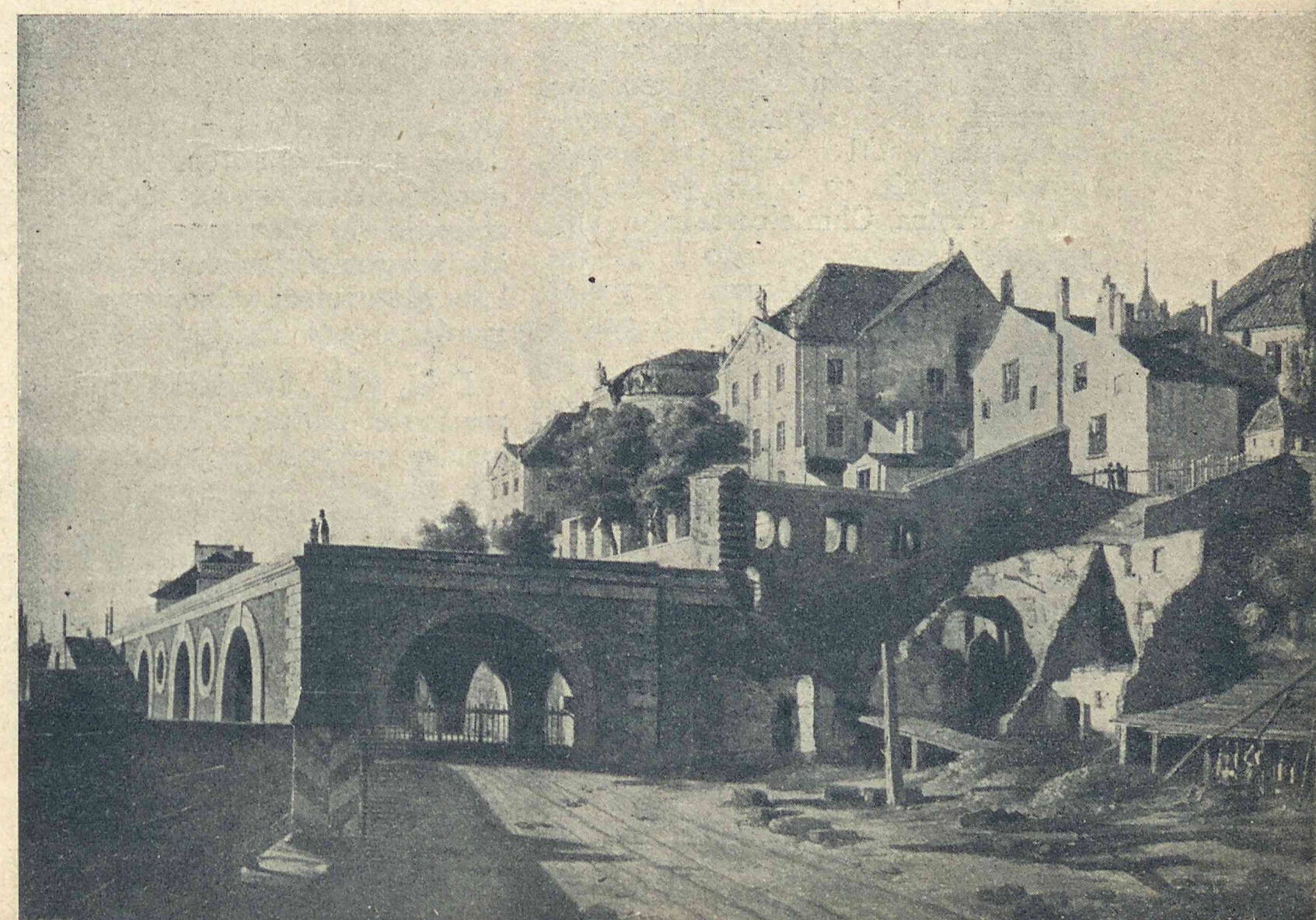

SWIAT KSIĄŻKI

PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE „ŚWIATEŁKA"

Dla dzisiejszego czytelnika nazwa „Światełko" nic już oczywiście nie mówi. Ale przed laty pięćdziesięciu książka pod tym tytułem była w Warszawie bardzo popularna. W r. 1884 ukazała się ona jako książka dla dzieci „napisana zbiorowo przez grono autorów polskich", a wydana przez Spółkę nakładową warszawską. Czem zasługuje „Światełko", aby w pięćdziesiątą rocznicę ukazania się tej „zbiorowo napisanej" książki dla dzieci poświęcić jej osobne wspomnienie? Wystarczy przerzucić pożółkłe karty i przeczytać spis rzeczy, obejmujący trzydzieści cztery opowiadania i artykuły, aby odpowiedzieć na to pytanie. Oto wśród nazwisk autorów znajdują się prawie wszyscy znani wówczas w Warszawie pisarze polscy — od poetów i powieściopisarzy do popularyzatorów nauk przyrodniczych. Obok Marji Konopnickiej i Elizy Orzeszkowej są tam Aleksander Świętochowski i Piotr Chmielowski, są historycy, jak Władysław Smoleński i Dr. Antoni J., jest zoolog prof. Józef Nusbaum i matematycy Dickstein i Stanisław Kramsztyk. I wszyscy ci pisarze, których ogromna większość nigdy nie pisała rzeczy, przeznaczonych dla wieku dziecięcego, zrzeszyli się tym razem, aby stworzyć możliwie doskonałą książkę dla dzieci.

Ideą zaś, która wówczas przyświecała wszystkim tym autorom, i która ich dla stworzenia „Światełka" zespoliła, był cel napisania książki polskiej dla polskich dzieci. W początkach lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia cel ten wystarczył, aby skłonić do napisania powiastki o tem, jak Janek dowiaduje się, co to jest poeta, takiego Piotra Chmielowskiego, aby pobudzić samego starego T. T. Jeża, aby ze Szwajcarji przysłał wierszem napisaną bajkę o psie i ośle.

Marja Konopnicka umieściła w „Światełku" powiastkę przeplataną wierszami p. t. „Jak się dzieci w Bronowie z Rozalją bawiły", która później gdzieindziej była jeszcze drukowana, a Orzeszkowa dała najobszerniejszą opowieść książki — „Przygodę Jasia". Krótkie powiastki napisali historyk literatury polskiej Bronisław Chlebowski i zmarły przedwcześnie redaktor „Wędrowca" i projektodawca „Słownika Geograficznego Ziem Polskich" Filip Sulimierski.

Znajdujemy tam dalej utwory Walerji Marrené i Wili Kościałkowskiej, Edwarda Lubowskiego i znakomitej pracowniczki w zakresie literatury dziecięcej Teresy Jadwigi Papi. Wśród utworów wierszowanych są tam jeszcze bajki poety i slawisty Bronisława Grabowskiego i młodo zmarłego poety kijowskiego Włodzimierza Wysockiego. Jest też i obrazek o charakterze etnograficznym, pióra oczywiście Zygmunta Glogera p. t. „Okrężne", dający dzieciom opis dożynek wraz z odnośnemi pieśniami.

Osobliwość „Światełka" stanowi duża ilość opowiadań treści popularno-przyrodniczej. Należą do tej kategorji rzeczy J. K. Potockiego i S. Kramsztyka, B. Rajchmana i J. Wł. Dawida, S. Dicksteina i M. Rozmysłowskiego. Obok tego osobno umieszczone zostały „zagadnienia arytmetyczne i „przestrogi moralne".

„Światełko" jest jako dokument historyczno - literacki niezmiernie ciekawym przyczynkiem do charakterystyki tego grona pisarzy polskich, jako przedstawicieli kierunku umysłowości, który wówczas wśród nich dominował, a który nosił miano pozytywizmu.

Duch pozytywizmu unosi się nad wszystkiem, co weszło w skład „Światełka", przenika sobą zarówno artykuły popularno - naukowe, jak i powiastki i wierszyki. Pozytywizm warszawski, obok ogólnych cech właściwych temu prądowi filozoficznemu, odznaczał się niezwykle wysokiem napięciem uczuć obywatelskich i patrjotycznych. I to również znalazło swój wyraz w „Światełku". Dość powiedzieć, że grono autorskie przed oddaniem utworów swych do druku, zbierało się wieczorami ,aby je sobie wzajemnie odczytywać; z takim pietyzmem odnoszono się do zamierzonego dzieła.

Dziś, gdy „Światełko" należy do rzadkości bibljograficznych, a nazwiska autorów jego przeszły już do historji literatury, krótkie wspomnienie o tej książce, o ludziach, którzy ją napisali i o epoce, która ją wydała, nie powinno być pozbawione interesu naukowego, a może i korzyści moralnej.

Dr. Stefan Kramsztyk.

„Dzieła wszystkie Cyprjana Norwida"

(„Bibljoteka Poetów Polskich" — pod redakcją prof. T. Piniego. Wyd. „Parnas Polski" — Warszawa).

Leży przed nami pokaźnych rozmiarów tom — około 700 stron druku — w solidnej estetycznej oprawie, starannie drukowany na dobrym papierze. Zdumiewająco niska cena...

Można jednak tanio wydawać tandetę—i to się niestety w naszym świecie wydawniczym zdarza bardzo często. Tanio wydawać rzeczy pierwszorzędne, wydawać je starannie, z poczuciem odpowiedzialności kulturalnej — jest trudniej. Mozolną tę misję rozpowszechniania dzieł znakomitych podjął „Parnas Polski" pod redakcją prof. Piniego, i wydał dotychczas wszystkie dzieła Słowackiego, Krasińskiego, Mickiewicza. Obecnie wydany Norwid jest pierwszym z serji, która obejmie wszystkie dzieła Asnyka, Fredry oraz Lenartowicza.

Wśród szerokiego ogółu utarło się mniemanie, że Norwid jest mglisty, że przeciętny śmiertelnik nie może nawet marzyć o zbliżeniu się do ducha tak wysokiego.

Aby przekonać czytelników, że tak nie jest, aby zachęcić do poznania dzieł Norwida, zamieszczamy w dzisiejszym numerze „Świata" wyjątki ze wspomnień Norwida, zatytułowanych „Czarne kwiaty".

Rozeszła się zdumiewająca pogłoska, powtórzona przez pisma codzienne, jakoby dotychczasowy badacz i wydawca Norwida, Miriam, wytoczył proces prof. Piniemu z powodu wydania dzieł poety, stanowiących jakoby własność Miriama.

Uważamy za konieczne podkreślić, że tak pojęta misja „kulturalna" i tak praktykowany „kult" dla Norwida zasługiwałby na jednomyślne słowa oburzenia całego społeczeństwa pod adresem człowieka, który własność ogółu — dzieła poety — traktuje jak swoją własność prywatną.

„Odkryć" Norwida — czego dokonał Miriam i za co mu się należy uznanie — a potem zamknąć go zazdrośnie przed czytelnikiem — dziwny to zaiste sposób szerzenia kultu poety! Akcja sądowa przeciwko prof. Piniemu, choćby nawet miała za sobą wszystkie paragrafy prawne — będzie miała przeciwko sobie kategoryczny moralny protest całego społeczeństwa.

Z. N. Ch.

CYPRJAN KAMIL NORWID

CZARNE KWIATY

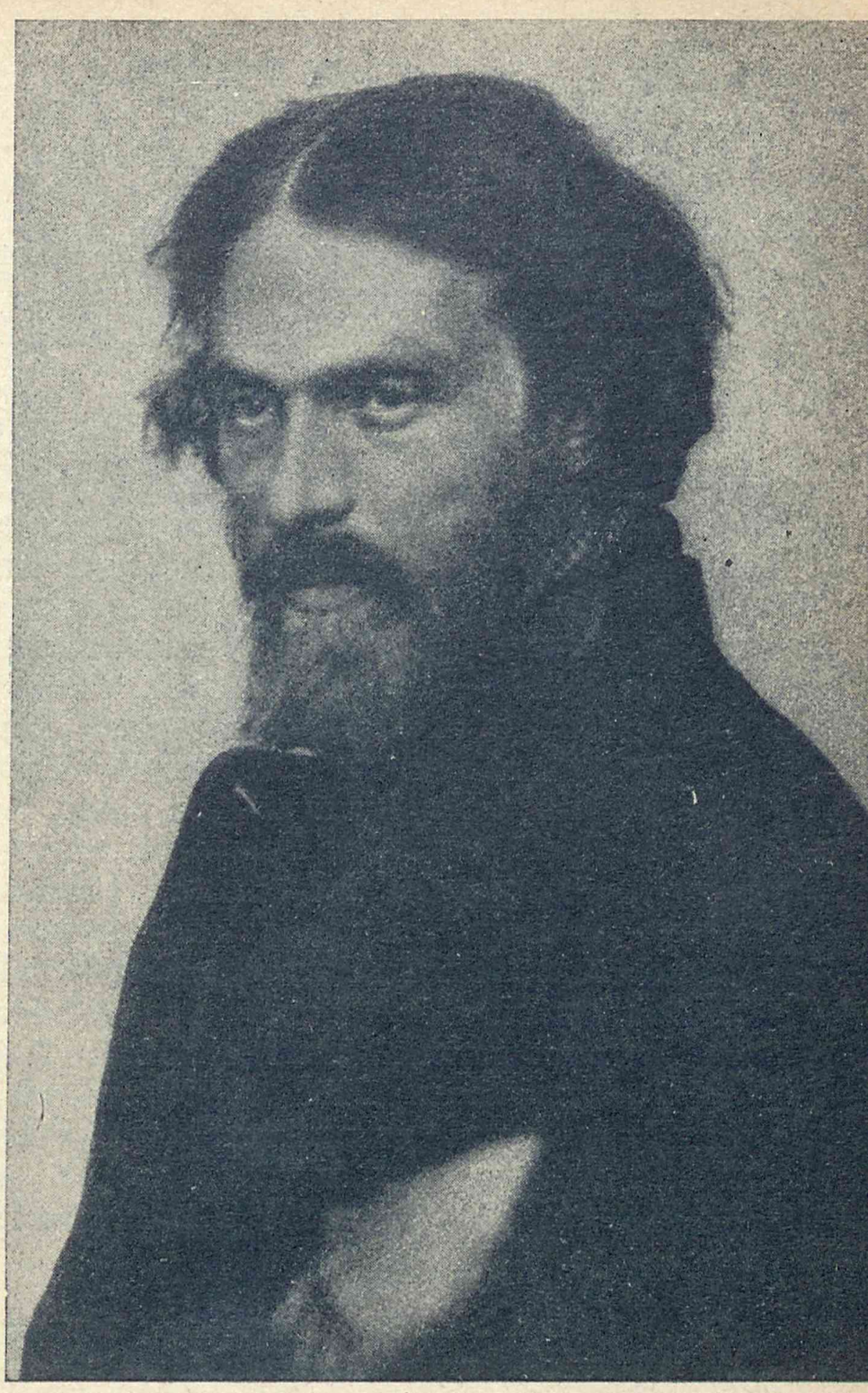

Cyprjan Kamil Norwid

W Paryżu Fryderyk Chopin mieszkał przy ulicy Chaillot, co, od Pól Elizejskich wgórę idąc, w lewym rzędzie domów, na pierwszem piętrze mieszkania ma z oknami na ogrody, i Panteonu kopułę i cały Paryż... jedyny punkt, z którego napotykają się widoki cokolwiek zbliżone do tych, które w Rzymie napotykasz. Także też i Chopin miał mieszkanie z widokiem takim, którego to mieszkania główną częścią był salon wielki o dwóch oknach, gdzie nieśmiertelny fortepian jego stał, a fortepian bynajmniej wykwintny, do szafy lub komody podobny, świetnie ozdobiony jak fortepiany modne, ale owszem trójkątny, długi, na nogach trzech, jakiego, zdaje mi się, już mało kto w ozdobnem używa mieszkaniu. W tym salonie jadał też Chopin o godzinie piątej, a potem zstępował, jak mógł, po schodach i do Bulońskiego lasku jeździł skąd wróciwszy, wnoszono go po schodach, iż wgórę sam iść nie mógł. Tak jadałem z nim i wyjeżdżałem po wielekroć — i raz do Bohdana Zaleskiego, który w Passy mieszkał, wtedy po drodze wstąpiliśmy, nie wchodząc doń na górę do mieszkania, bo nie było komu Chopina wnieść, ale pozostając w ogródku przed domem, gdzie maleńki jeszcze wówczas poety synek na trawniku się bawił...

Od zdarzenia tego ubiegło wiele czasu, a ja nie zachodziłem do Chopina, wiedząc tylko zawsze, jak się ma i że siostra jego z Polski przybyła. Nareszcie zaszedłem razu jednego i odwiedzić go chciałem. Służąca francuska powiada mi, że śpi; uciszyłem kroku, karteczkę zostawiłem i wyszedłem. Ledwo parę zstąpiłem schodów, służąca powraca za mną, mówiąc, iż Chopin, dowiedziawszy się, kto był, prosi mię; że jednem słowem nie spał, ale przyjmować nie chce. Wszedłem więc do pokoju, obok salonu będącego, gdzie sypiał Chopin, bardzo wdzięczny, iż widzieć mię chciał, i zastałem go ubranego, ale do pół leżącego w łóżku z nabrzmiałemi nogami, co, że w pończochy i trzewiki ubrane były, odrazu poznać można było. Siostra artysty siedziała przy nim, dziwnie z profilu doń podobna... On, w cieniu głębokiego łóżka z firankami na poduszkach oparty i okręcony szalem, piękny był bardzo tak, jak zawsze, w najpowszedniejszego życia poruszeniach mając coś skończonego, coś monumentalnie zarysowanego... coś, co albo arystokracja ateńska za religję sobie uważać mogła była w najpiękniejszej epoce cywilizacji greckiej, albo to, co genjalny artysta dramatyczny wygrywa n.p. na klasycznych tragedjach francuskich, które, lubo nie są do starożytnego świata przez ich teoretyczną ogładę podobne, genjusz wszelako takiej np. Racheli umie je unaturalnić, uprawdopodobnić i rzeczywiście uklasycznić... Taką to naturalnie apoteotyczną skończoność gestów miał Chopin jakkolwiek i kiedykolwiek go zastałem... Owóż przerywanym głosem dla kaszlu i dławienia wyrzucać mi począł, że tak dawno go nie widziałem; potem żartował coś i prześladować mię chciał najniewinniej o mistyczne kierunki, co, że mu przyjemność robiło, dozwalałem; potem z siostrą jego mówiłem; potem były przerwy kaszlu, potem moment nadszedł, że należało go spokojnym zostawić, więc żegnałem go, a on, ścisnąwszy mię za rękę, odrzucił sobie włosy z czoła i rzekł: „...Wynoszę się!"... i począł kaszlać, co ja, jako mówił, usłyszawszy, a wiedząc, iż nerwom jego dobrze się robiło, silnie coś czasem przecząc, użyłem onego sztucznego tonu i, całując go w ramię, rzekłem, jak się mówi do osoby silnej i męstwo mającej: „...Wynosisz się tak co rok... a przecież chwała Bogu oglądamy cię przy życiu".

A Chopin na to, kończąc przerwane mu kaszlem słowa, rzekł: „Mówię ci, że wynoszę się z mieszkania tego na plac Vendôme..."

To była moja ostatnia z nim rozmowa, wkrótce bowiem przeniosł się na plac Vendôme i tam umarł, ale już go więcej po onej wizycie na ulicy Chaillot nie widziałem...

. . . . . .

...Przed śmiercią jeszcze Chopina zaszedłem był raz na ulicę Pontieu przy Elizejskich Polach do domu, którego odźwierny z uprzejmością odpowiadał, ile razy kto zachodząc pytał, go, jak się Monsieur Jule ma... Tam, na najwyższem piętrze, pokoik był, ile można, najskromniej umeblowany, a okna jego dawały na przestrzeń, jaką się z wysokości zawsze widuje, tem jednem tylko upiększoną, iż czerwone słońca zachody w szyby biły łunami swemi. Kilka doniczek z kwiatami na ganku przed oknami temi stało, a ośmielone przez mieszkańca wróble zlatywały tam i szczebiotały. Obok drugi maleńki był pokoik — to sypialnia.

Było to więc około piątej godziny po południu, kiedy przedostatni raz byłem tam u Juljusza Słowackiego, który właśnie kończył obiad swój, z zupy i pieczonej kury składający się. Siedział przeto Słowacki przy stoliku okrągłym na środku pokoju, ubrany w długie, podsarzane palto i w amarantową, spłowiałą konfederatkę, akcentem wygody na głowę zarzuconą. I mówiliśmy tak o Rzymie, skąd właśnie że niezbyt dawno przybyłem do Paryża; o niektórych znajomych i przyjaciołach — o bracie mym Ludwiku, którego ś. p. Juljusz rzewnie kochał; o „Nieboskiej komedji", którą wysoko bardzo cenił, o „Przedświcie", który miał za piękne dzieciństwo... Także o sztuce, że wpadła w mechanizm; także o Chopinie (który żył jeszcze), a o którym Juljusz, pokaszlując, rzekł mi: „Parę miesięcy temu spo-

tkałem tego moribunda..." Sam wszelako pierwej od Fryderyka Chopina odszedł ze świata widzialnego, umarłszy.

Do pokoiku tego, który, jak Juljusz mawiał, „zupełnie byłby dla szczęścia człowieka wystarczającym, gdyby nie to, że w jednej stronie jego kąty nie są zupełnie proste, źle będąc skwadratowanym" — do tego, mówię, pokoiku innego dnia wieczorem zaszedłem był, a Juljusz stał przy kominie, fajkę na cybuchu długim paląc, jak to używa się w Polsce na wsi; na kanapie siedział malarz Francuz (którego Juljusz potem egzekutorem testamentu swego zrobił), ale ten nie mówił i milczał milczeniem mało naturalnem i siedział. Nad kominkiem wisiał bronzowy medal, Juljusza przedstawiający, który jest jedną z najpiękniejszych w tym rodzaju robót Oleszczyńskiego.

O Francji, o rewolucji, o rzymskich wypadkach mówiliśmy — on naturalnem ale kolorowanem słowem i niespodziewanemi obrotami mowy i niekiedy akcentem zrezygnowanego żywota głębią apostrof filozoficznych, w „Marji" Malczewskiego napotykanych, przypominającym. Co wszelako niezawsze z wielkiemi jego czarnemi, ognia pełnemi oczyma i z orjentalną skronią i otworami energicznemi nosa orlego sprzymierzało się... Pod koniec rozmowy mówił mi: „Piersi, piersi nadwerężone mam, każą mi już tylko cukierki jeść, co chwilowo łagodzi kaszel, żołądkowi zato o tyleż zskodząc. Przyjdź jeszcze w przyszłym, w zaprzyszłym tygodniu, potem... czuję, że niezadługo i odejść z tego świata przyjdzie mi". Wyraźnie mi to mówił, bawiąc się cybuchem fajki swojej, tam i owdzie powoli poruszanym, jak wahadło zegara ściennego. W następnym tygodniu spieszyłem znowu zajść do Słowackiego, ale spotkałem kogoś (możnaby rzec z uczniów jego), który odeń powracał — a było już ciemno — i ten powiedział mi: „Jutro lepiej zajdź do Juljusza, bo dziś właśnie dlatego wyszedłem od niego, iż nieswój jest..." „Jakże się ma?" pytałem. „Nie wiem" odpowiedział mi „ale tyle ci tylko powiem, iż wedle słów Juljusza bardzo wątpi o zdrowiu swem i zawzywał już dzisiaj pomocy i opieki św. Michała archanioła, tusząc, że mu to sił na jakiś czas użyczy". Te słowa usłyszawszy (lubo bez dwuznacznego zadziwienia, bo wiedziałem, że Słowacki bardzo religijny był), na inny dzień odwiedziny moje odłożyłem.

Ten inny dzień w następnym tygodniu wypadł, ale już to o rannej godzinie było i było to tak, że, wszedłszy pierwszy, widziałem ciało zimne Juljusza, bo w nocy poprzedniej sakramentami opatrzony (list od matki swej, nadeszły właśnie w chwili skonania, odczytawszy), zasnął śmiercią i w niewidzialny świat odszedł.

* * * * * * * *

Adam Mickiewicz mieszkał w okolicach placu Bastylji, w gmachu bibljoteki arsenału, gdzie i bibljotekarzem był. Miejsce to przepowiedziany przez niego człowiek z dynastji wielkiego Napoleona (dzisiejszy imperator francuski) ofiarował świętej i wiekopomnej pamięci Adamowi Mickiewiczowi — miejsce szczupłe, mało nawet jako fundusz dla familji licznej poety przynoszące, a ofiarowane mu, zdaje się, dobrze już potem, kiedy w dziennikach czytało się, iż profesor Kolegjum Francuskiego, Adam Mickiewicz i mało liczni inni odmówili przysięgi na wierność imperatorowi francuskiemu. Około to późniejszych jeszcze tego panowania miesięcy bibljotekarz do imperatora napisał też Horacjusza językiem odę, nieskończenie z formy przystającą do urzędu i miejsca powierzonego mu.

Więc to krótko przed misją na Wschód, na jaką z bibljotekarstwa udał się był pan Adam, zaszedłem doń, do gmachu bibljoteki arsenału, gmachu ciemnego, z korytarzami i kamiennemi schodami. Było to w niedzielę, bo pamiętam, że ze mszy szedłem i książkę ze sobą miałem. A szedłem go przywitać, więcej niż kiedykolwiek serdecznie, bo bliżej... bliżej zaś z powodu, iż dochodziło mię było, że wspominał mię, kiedy w Ameryce zostawałem; a kiedy tam odpłynąłem, powiedział tylko komuś: „To on tak, jakby na père Lachaise pojechał!..." co że zrozumiałem, było mi przyjemnie, iż ktoś mię wspominał w Europie i dlatego też przyjemnie szedłem przywitać go. Wesoło spojrzał na mnie i uścisnął i rozmawiałem z nim do zachodu słońca, bo pamiętam, że czerwono zrobiło się w oknie, kiedy myślałem odejść. Pokoik to był mały z piecykiem dobrze zapalonym, gdzie od razu do razu pan Adam poprawiał nieco węgle kijem.

Ubrany był pan Adam w futerko wytarte, szaraczkowem suknem powleczone, które, skąd w Paryżu można było dostać, tej barwy, kraju i podżyłości, pytanie ciekawe — bowiem była to, zdaje się, kapota, jaką zagonowa szlachta zimą nosi w prowincjach, dobrze od Warszawy oddalonych. W pobliżu wisiała piękna rycina, przedstawiająca św. Michała archanioła podług oryginału, który jest u Kapucynów w Rzymie, czy też podług tego obrazu Rafaela, który w Luwrze jest, tego dobrze nie pamiętam. Także Ostrobramska Matka Najświętsza i Dominikina oryginalny rysunek, komunję św. Hieronima przedstawiający; jeszcze także rycinka mała, z Napoleona I-go przed generalstwem jego portretowana, a pod nią dagerotyp mężczyzny sędziwego, prosto stojącego, w surducie zapiętym, jak chodzą francuskie inwalidy — a był to czas właśnie pierwszych wojennych kroków, ostatniej wojny.. Na biurku zaś, od czasu niedawnego dopiero widzialne u pana Adama dwa niedźwiedzie pasujące się — odlew z gipsu.

To było jeszcze przed śmiercią małżonki Adama Mickiewicza, po której to śmierci i pogrzebie na jakie dwa tygodnie zaszedłem znów do pana Adama o godzinie może dziesiątej rano i zastałem go w progu drzwi, wychodzącego właśnie, tak, że, drzwi kiedy otworzyłem, wpadłem nań — wrócił więc na jakie półtory godziny jeszcze, przez które z nim mówiłem, a potem razem też wyszliśmy, bo miał był gdzieś iść jeszcze onej półtorej godziny pierwej. Mówił mi o śmierci żony, szczegółowo, bardzo pogodnie, małe zboczenie robiąc: że nieświadomość prawdy tylko daje przerażenie zgonu i rzeczy, śmierci dotyczących.... Aż, kiedy przy jednej z ulic ja miałem inaczej obrócić drogę, a on gdzie indziej iść, ścisnął mię za rękę i mocnym głosem rzekł mi: „No... adieu!" Że nigdy ani po francusku, ani tym tonem nie żegnał mię był, a tyleć razy rozchodziliśmy się, przeszedłem potem nieledwie na drugi koniec miasta, i na schody do siebie wstępując, słyszałem jeszcze to słowo „...Adieu!"

Przypadek zrządził, że nie mogłem widzieć odtąd pana Adama, ani pożegnać go, kiedy na Wschód wyjeżdżał — słowem, że to ostatnie było ono dziwnie mi podówczas brzmiące pożegnanie... Co, aby jaśniejszem było, dodać trzeba, że nieboszczyk pan Adam miał to do siebie, iż nietylko, co mawiał, ale i jak mawiał, zatrzymywało się w pamięci...

START I LOT

Płk. Kwieciński daje znak rozpoczęcia lotu okrężnego.
Fot. Ryś

Na lotnisku w Królewcu

Samolot kpt. Bajana wzbudził żywe zainteresowanie wśród witających okrężny lot przedstawicieli władz i ciała konsularnego w Królewcu. Zwycięski dotąd lotnik polski odbierał liczne gratulacje
Fot. Krauskopf-Królewiec

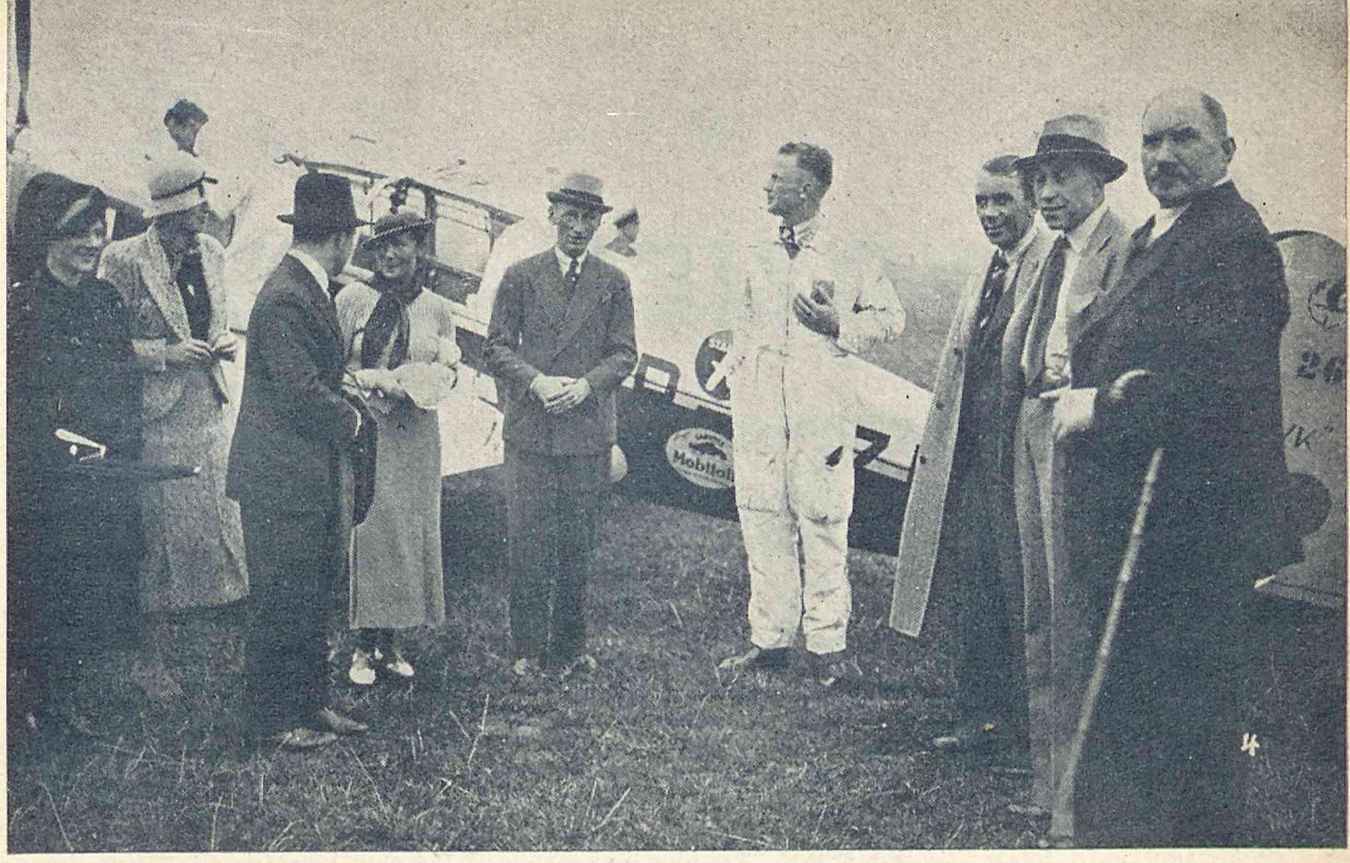

Przylot kpt. Bajana do Królewca

Samolot kpt. Bajana
Fot. Ryś

Kpt. Bajan w Królewcu oblicza swe punkty, sprawdzając swój „stan posiadania"

TYDZIEŃ ŚWIATA

Paryż zbombardowany!

(l) Parę dni temu wielki atak lotnictwa francuskiego wykonany został na Paryż i na lotnisko podparyskie Le Bourget.

Atak wykonany był *w dzień!*

Manewry te lotnictwa francuskiego miały sprawdzić, czy przeciwlotnicza akcja obrony Paryża jest wystarczająca. *Atak się jednak w zupełności udał!* Teoretycznie Paryż i le Bourget zostały zbombardowane. Ani eskadry obronne, ani działa przeciwlotnicze nie dały rady. Aeroplany wyobrażające armję nieprzyjacielską, lecącą na Paryż od strony Nancy, zwyciężyły. Tydzień wcześniej w podobny sposób zwyciężyły lotnicze eskadry angielskie, atakujące Londyn. Londyn też został zbombardowany! Doświadczenia te wykazały, że wojna powietrzna, polegająca na bombardowaniu miast, jest możliwa stuprocentowo i że obrona bezpośrednia jest minimalna i zupełnie niewystarczająca.

Obroną więc staje się *rewanż, bombardowanie odwetowe.* Za Paryż lub Londyn — zbombardowane zostaną Berlin i Hamburg, za Wenecję czy Rzym — Monachjum i Drezno! I tak dalej i tak dalej. Czyli poprostu aby złamać ducha i opór armji, polityką rządów będzie się obrzucało bombami kobiety, dzieci, ludność do broni niezdolną. Walić się będzie domy, muzea, dzieła sztuki, będzie się mordowało masowo wszystkich.

Na to genjusz ludzki wydarł powietrzu tajemnicę lotu — aby sobie wzajemnie wygrażano aeroplanem naładowanym bombami, przeznaczonemi dla całej ludności. Bo dziś wykazały manewry lotnicze nad Londynem, Paryżem, Rzymem, *że nie można obronić się przeciw atakowi bomb z powietrza.* Tylko pogróżka odwetu może być bronią! Słaba to broń w brutalnościach wojny.

W tych warunkach, jeśli reguły na wojnę powietrzną nie zostaną ustalone, należy się obawiać, że kiedyś ludzkość przeklinać będzie wspaniały wynalazek lotnictwa.

Tajemnicza śmierć

(l.) Wynalazca „skrzydlatych kul" inżynier Gerlich, z pochodzenia niemiec, z „instalacji" amerykanin, nagle, w tajemniczy sposób, zmarł.

Gerlich wynalazł owe słynne kule, które nietylko miały przebijać pancerze tanków, ale odznaczały się fantastyczną szybkością. Kule te, nazwane Halger - ultra, były zaopatrzone w rodzaj technicznych skrzydeł, zwiększających pęd kul w miarę powiększania się dystansu. Gerlich od pewnego czasu osiedlił się w Danji i tam przeprowadzał swe badania. Wynalazkiem Gerlicha zainteresował się sztab angielski. Niespodziewanie po podróży do Francji i Belgji, gdzie podobno pertraktował o swój wynalazek, Gerlich wróciwszy do Danji nagle zmarł.

„Plotki" przypisują śmierć jego tajnym ajentom jednego z mocarstw europejskich.

Pewne jest tylko, że pacyfiści śmierci mu nie przyspieszyli.

Zarówno rodzaj wynalazku, jak i śmierć wynalazcy świadczą, iż żyjemy w czasach... pokojowych.

Znak zapytania nad Saarą!

(l.) W miarę jak zbliża się termin plebiscytu, jak wzrastają namiętności, jak rozwija się z obu stron propaganda,zjawiają się również wątpliwości, znaki zapytania na taki lub inny wypadek, który z wypowiedzenia się ludności Saary może wyniknąć. Fakt, iż w manifestacji antyhitlerowskiej w Sulzbach wzięło udział około 70.000 osób, wywołał zaniepokojenie w urzędach i agendach III-ej Rzeszy—ani w Berlinie, ani w innych stolicach nie spodziewano się takiej liczby. Solidarność antyhitlerowska katolików, komunistów i socjal - demokratów dała wiele do myślenia Europie. Dziś już liczą się z możliwością wyniku plebiscytowego ujemnego dla przyłączenia do Rzeszy.

Ale co wtedy? Groźny znak zapytania zjawił się w kancelarjach dyplomatycznych. Co wtedy? Czy nazisy aprobują ten wynik? Czy pogłoski o puczu à la austrjacki spełnią się, czy też pozostaną w sferze pogłosek. Czy w tym wypadku Liga Narodów zdoła utrzymać porządek?

A co będzie, gdy liczba głosów antyhitlerowskich osiągnie 30%, 40% lub 48% ludności. Czy można tę olbrzymią mniejszość wydać na łup „rządów" mało co liczniejszej większości i metod centrali narodowo - socjalistycznej?

Liga Narodów ma decydować o losie Zagłębia Saary na zasadzie wyniku plebiscytowego. Nie będzie to łatwe. Wątpliwości, obawy mnożą się. Już dziś rodzą się pomysły decyzji częściowych, gminami, okręgami na wzór Górnego Śląska — ale już dziś pogróżki o nieuznaniu takich decyzji przez Rzeszę dochodzą do Genewy, pełnemi garściami siejąc ziarna obawy i niepokoju.

Walka dzienników

(x) Wielka prasa codzienna, służąc programom lub interesom partji lub też takich lub innych przedsiębiorstw przemysłowych, w walce o swe nakłady często odsłania podszewkę swej ideologji.

Ostatnio rosnące powodzenie i nakłady „Paris - Soir" spędziły sen z powiek administracji innego doniedawna „giganta" prasowego: „Matin'a".

Konsorcjum pięciu wielkich pism paryskich unormowało już do pewnego stopnia swą konkurencję. „Petit Parisien", „Matin", „Journal", „Echo de Paris", „le Petit Journal" — walczyły też ongiś zajadle ze sobą — obecnie ustaliły pewne normy i metody... lojalnej konkurencji. Nowozałożony trzy lata temu „Paris - Soir" poszedł swą drogą i zdobył na prowincji specjalnie fantastyczne powodzenie. Konkurenci chcieli się ułożyć. W tym celu administrator „Matin'a" — Maillard odbył konferencję z właścicielami „Paris-Soir" pp. Prouvost i Béghin. Ale „rozmówka" przeistoczyła się w burzliwą... wymianę zdań. Panowie z „Paris-Soir" bynajmniej nie okazali skłonności hamowania biegu ich maszyn rotacyjnych.

Rozmówcy rozeszli się z niczem a raczej z wściekłością.

W wyniku tych pojednawczych pertraktacji „Matin" stanął w obronie... konsumentów cukru!

Przed tygodniem pod olbrzymim tytułem rozpoczął demaskować poczynania fabrykantów cukru. Były więc słowa potępienia dla skomplikowanych metod dostarczania ludności tego niezbędnego produktu, były wreszcie okresy mówiące o zbijaniu fortun przez tych, którzy posiedli tajemnice tych metod. „Te fortuny — pisał Matin — zdobywane są rzecz prosta kosztem konsumentów" — i wzywał rząd, aby wejrzał w te sprawy, aby rozciągnął kontrolę nad działalnością cukrowników.

Niewątpliwie czytelnicy „Matin'a" dumni byli ze swego pisma. W tej kampanji jednak było jedno małe „ale".

Oto p. Béghin — właściciel „Paris - Soir", jest jednym z najbogatszych i największych ...*cukrowników francuskich!* Wtajemniczeni twierdzą, że lada dzień „Paris-Soir" wystąpi z akcją przeciw nafciarzom... z których źródeł wielokrotnie bije siła żywotna Matin'a!

Jak widzimy, hasło „interesu publicznego przedewszystkiem" ma w tej akcji i kontrakcji istotne zastosowanie!

Czasem jednak przy takiem odsłanianiu kulis Bogu ducha winny czytelnik wygrywa jako... konsument cukru, benzyny, nafty, węgla, czy innych produktów pierwszej potrzeby.

Willa za... dzieci

(x) W okolicy Altenburgu powstało w Niemczech miasto mianem — Germanenhos. Miasto to ma być upamiętnieniem narodzin idei i ruchu hitlerowskiego ,ma również być zachętą do rozrodczości.

Tworząc więc nowe miasta, hitleryzm i w tem naśladuje i kopjuje Mussoliniego. Tylko że powstałe we Włoszech: „Littoria i Sabaudia" to miasta - ośrodki na terenach osuszonych, odmalarvzowanych, zmeljorowanych bagien i błot. Tam miasta powstają w dzielnicach stworzonych literalnie, na terenach wewnętrznej emigracji, W Niemczech mają służyć chwale partyjnej i premjowaniu małżeństw, przysparzających według kontraktu minimum czworga dzieci państwu!

Kontrakt na dostawę dzieci opiewa, iż każde młode małżeństwo, w którem małżonkowie nie przekraczają wieku lat 30-tu każde — może otrzymać w Germanenhosie willę. Komorne za taką willę wynosi koło 30 mk. miesięcznie. Małżeństwo obowiązane jest dostarczyć państwu w ciągu lat dziesięciu czterech nowych obywateli. O ile ten warunek kontraktu wypełnią, willa przechodzi na własność pracowitych rodziców. Na razie kontrakt nie wymaga czterech chłopców — ale w miarę popytu na willę pewnie zjawi się i ta klauzula. Ponieważ wartość willi w przybliżeniu wynosi 20.000 marek, więc cena za dziecko obliczana jest w Germanenhosie na 5.000 marek. A dzieje się to w okresie miljonowych rzesz bezrobotnych. Ciekawe, jaką „pracę" da III Rzesza tym nowym obywatelom.

A może to tylko zakup i zasilenie produkcji przyszłego „mięsa armatniego?!"

Istotnie Europa „nastawia się" na pokój.

Sinclair Levis skarcony

Rok temu syn Tomasza Mann'a wraz z André Gide'm, Huxley'em i Henrykiem Mannem założył w Amsterdamie tygodnik literacki. Pozyskawszy współpracę Sinclair'a Levis'a, ogłosił o tem w prospekcie wydawnictwa. Efekt był niezwykły. Wkrótce bowiem wzięty pisarz amerykański od swego wydawcy niemieckiego otrzymał depeszę z prośbą o zdementowanie swego udziału w wydawnictwie Manna. Wydawca, który poprzednio był lewicowcem, „wvjaśniał" Sinclair'owi, iż w razie niespełnienia prośby nie mógłby kontynuować wydawania dzieł pisarza amerykańskiego. Neofita nazismu nie mógł znieść współpracy Sinclair'a ze „zdrajcami - emigrantami". Sinclair odpowiedział, wyrażając zdziwienie, iż sądził, że jego książki „szły" w Niemczech dzięki swej wartości literackiej i że nie widzi, co miałyby mieć jego przekonania polityczne do jego artyzmu pisarza. „Jeżeli pan sobie życzy szczegółów o moich wyczynach atletycznych — kończył swój list Sinclair — lub detali mego życia miłosnego — gotów ich jestem panu dostarczyć". Zdaje się, że po tej odpowiedzi ideowy wydawca przestanie wydawać autora amerykańskiego.

Propaganda lotnictwa

Przed ustawioną na placu Marsz. Piłsudskiego tablicą trasy lotu okrężnego tłumy. Ruch wre tam od rana do późnego wieczora. Szczególniej w godzinach, gdy kończą się szkoły, zjawia się tam zemocjonowana publiczność.

„Gdzie Bajan? gdzie jest Bajan!" rzuca w stronę wcześniej przybyłych kolegów zadyszany czwartoklasista. Następują narady, informacje, sprawdzanie, przebieganie z jednej strony tablicy wyników na drugą. Dyskusję kompetentną, zawodową niemal przerywają pytania, sądy, przewidywania.

„Zobaczysz, że Płonczyński minie wszystkich" — woła zaperzony kogucik — ja go znam, to morus, ja z nim leciałem".

Głupstwo — woła niemniej czupurny blondas. — Bajan idzie jak chce; zobaczysz jeszcze jego finisz!

Uczniowie. Robotnicy. Rzemieślnicy. Kupcy domokrążni. Czasem „ważniejszy inteligent", wszyscy stają przed tablicą, patrzą z dumą i wiarą na punkty zdobyte przez polskie samoloty. Patrzą, a wraz z tem rośnie propaganda polskiego lotnictwa.

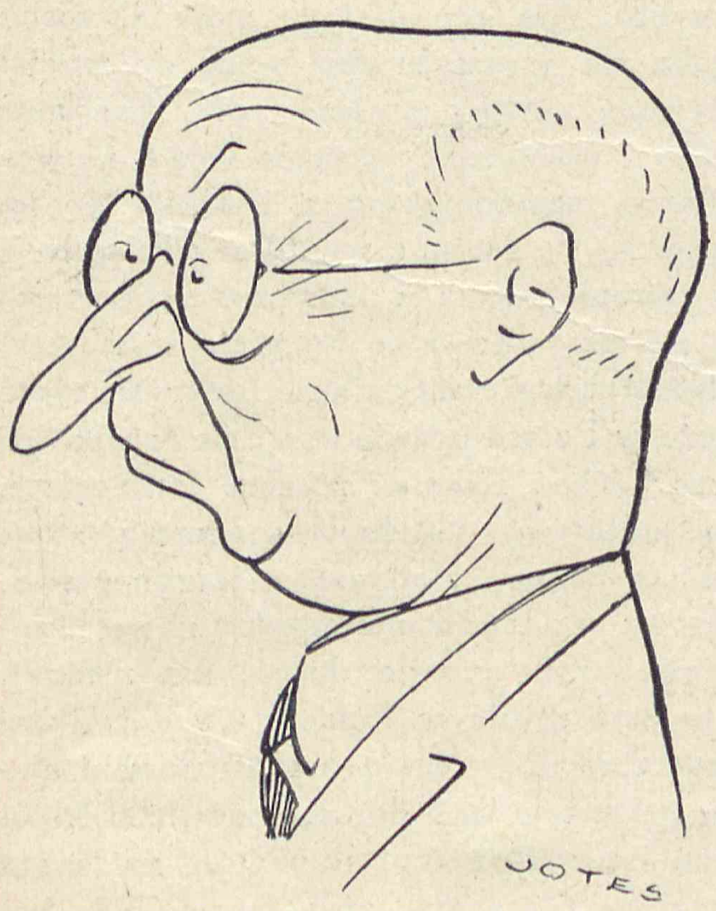

Międzynarodowy Kongres Przeciwgruźliczy odbył się w Warszawie

Na prawo: delegat Japonji, dr. Satoh

Na lewo: del. Estonji, prof. Szlosman

STANISŁAWA KUSZELEWSKA *(Ilustracje S. Norblina)*

Z CYKLU „KULTURA DNIA POWSZEDNIEGO"

V

WYMAGAĆ!

Stopień dbałości o dom wspólny, o dobro publiczne, jest miarą kultury człowieka. Jednakże samo dbanie wystarczyć może tylko w środowisku znacznie kulturalniejszem, niż jest naogół przeciętne środowisko nasze. W Polsce trzeba jeszcze umieć *wymagać*. Rzecz prosta, że ktoś, kto ośmiela się wymagać, musi mieć zupełnie czyste sumienie, że sam również nie zapomina dbać.

Naogół wszyscy jesteśmy zbyt bierni, jeśli chodzi o wymagania racjonalne — a jednocześnie nieraz zbyt kapryśni i wysuwający żądania niesłuszne, przesadne lub zbyteczne. Otóż właśnie *dbać, wymagać i nie kaprysić* wydaje mi się ideałem stosunku kulturalnego człowieka do zjawisk, z któremi styka się w tak zwanym „domu wspólnym" (ulice, schody, bramy, parki, tramwaje, dworce, ambulatorja) albo nawet w domu cudzym, lecz do ogólnego użytku służącym. (cukiernie, restauracje, hotele, pensjonaty, poczekalnie, gabinety lekarskie, fryzjernie i t. d.).

Stanowczo wymagamy zamało. Tym, którzy sami nie umieją dbać o czystość i porządek, poprostu nie nasuwają się żadne wymagania. Ci zaś, którzy dbać umieją — są nieraz za leniwi lub zamało odważni, żeby zaprotestować, lub zażądać.

Pobieżny rzut oka po Polsce nasunie nam mnóstwo przykładów. Pamiętam n.p. pewną cukiernię w Zakopanem, pozbawioną coprawda muzyki i dancingu, więc niemodną, ale tak zwaną „familijną", kulinarno - gazetową. Kawę dawali tam wyśmienitą, ale zato fartuchy kelnerek— Boże się zmiłuj, aż lepkie od kremu, aż żółte od jajecznicy. Równie straszne było oblicze kuchni, widziane chwilami przez otwarte drzwi. Raz nie wytrzymałam i powiedziałam coś uprzejmie o tym fartuchu. Kelnerka była zdumiona, a towarzyszące mi osoby powiedziały ze zgorszeniem: „Jakże można! Poco narażać się na przykrości?" Otóż twierdzę, że nietylko *można*, ale nawet *należy*. Nie podniesiemy nigdy kultury naszego wspólnego domu — Polski — jeśli nie nauczymy się wymagać.

...ale zato fartuchy kelnerek...

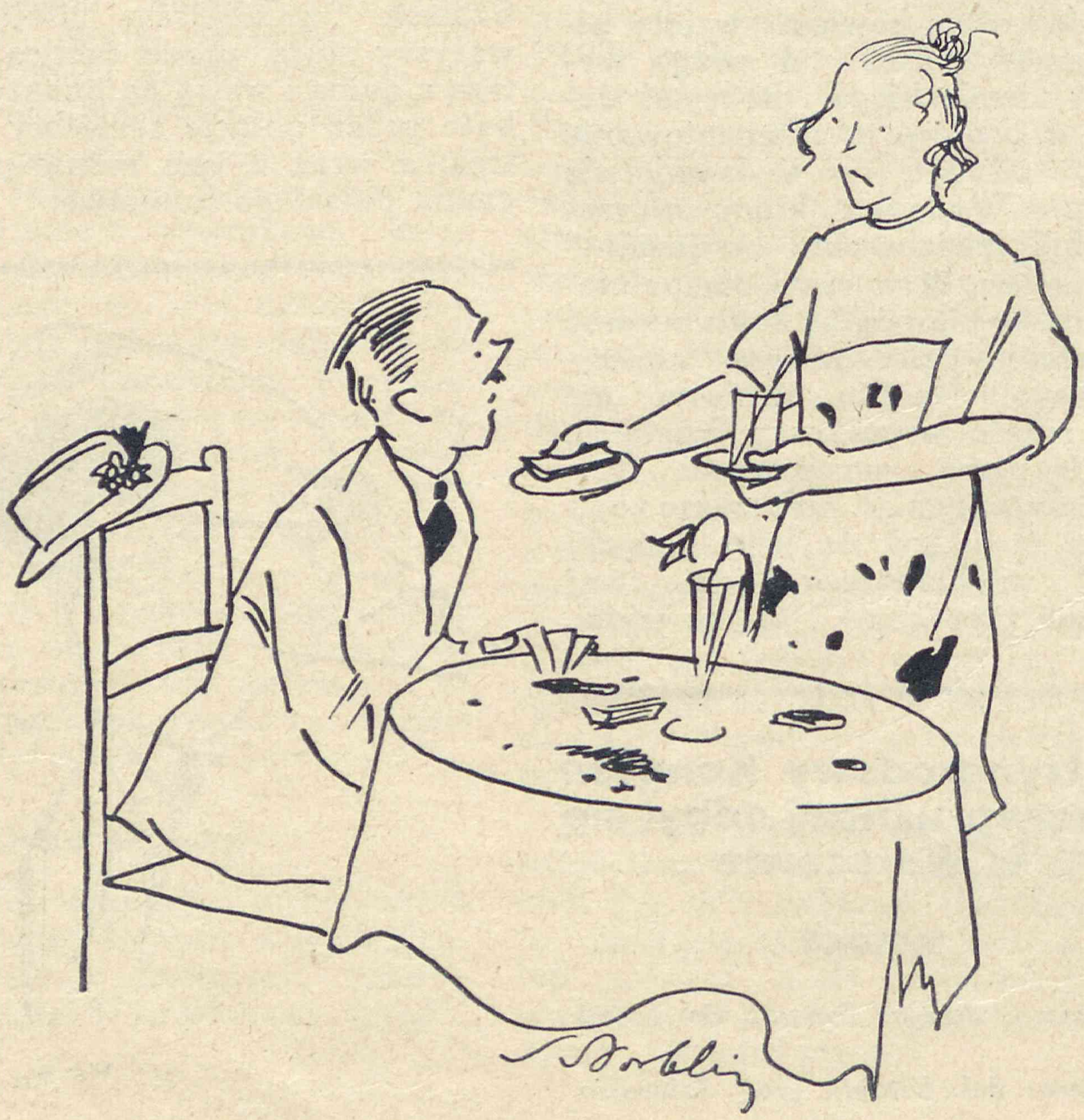

Inny przykład: pałacowa willa w Worochcie; piękna, ani słowa; ale proszę-no wejść do środka: o dziesiątej rano jeszcze wczorajszy śmietnik i zaduch na korytarzach, ohydne obrusy w jadalni, wstrętne materace na łóżkach, służba rozbabrana i senna, zupa o takim smaku, jakby ją gotowano „na ściereczkach", stosy papierów i ogryzków zamiast trawnika przed domem, zarządzającej nie można się doprosić — ceny bardzo słone. Cóż na to goście? Najwyżej potrafią uciec. Ale zbuntować się, zaprotestować, wymagać — o, nie, to nie wypada. Istotnie, *jeden* wymagający człowiek wygląda na awanturnika. Ale wszyscy wymagający ludzie — to właśnie jest naród kulturalny. W pięknej podtatrzańskiej Bukowinie jeden z najmodniejszych pensjonatów, goszczący po parę tygodni t. zw. elitę inteligencji stołecznej, jest tak zaniedbany, cuchnący i brudny, że powinien być omijany zdaleka i ostrożnie. Po trzech dniach przypadkowego tam pobytu oświadczam gospodyni, że wyjeżdżam. „Dlaczego?" pyta zdziwiona. „Dlatego, że jest za brudno."—„Jakto?" oburza się zażywna niewiasta. „Państwo X. stale tu przyjeżdżają, państwo Y. byli zachwyceni, a *dla Pani* jest za brudno?" (Trzeba było słyszeć to druzgoczące: „dla Pani"). Cóż. Trudno. Bardzo mi przykro. Ale czy dlatego moja skromna osoba ma znosić brudną wodę do mycia, używane strzępy prześcieradła, koszlawe łóżko i nieopisane, okrutne wonie na korytarzu, sąsiadującym z jadalnią — że panie X. Y., znane z wyjątkowej elegancji na terenie miasta, w uzdrowisku obojętnieją na wszystko, albo boją się wymagać?

Jeżeli chodzi o odżywianie, to turysta zjeść może w Polsce prawie wszędzie bardzo dobrze (choć również niezbyt kulturalnie, bo jadłospisy hotelowe zawierają przeważnie mięsa i słodycze, a jarzyn i owoców w najurodzajniejszych nawet częściach kraju prawie dostać nie można). Ale zato mycie w Polsce! nie daj Boże! Prywatne domy mają o niem bardzo słabe pojęcie, a cóż dopiero mówić o hotelach i pensjonatach! Pamiętam najlepszy hotel w Cieszynie, posiadający salę ba-

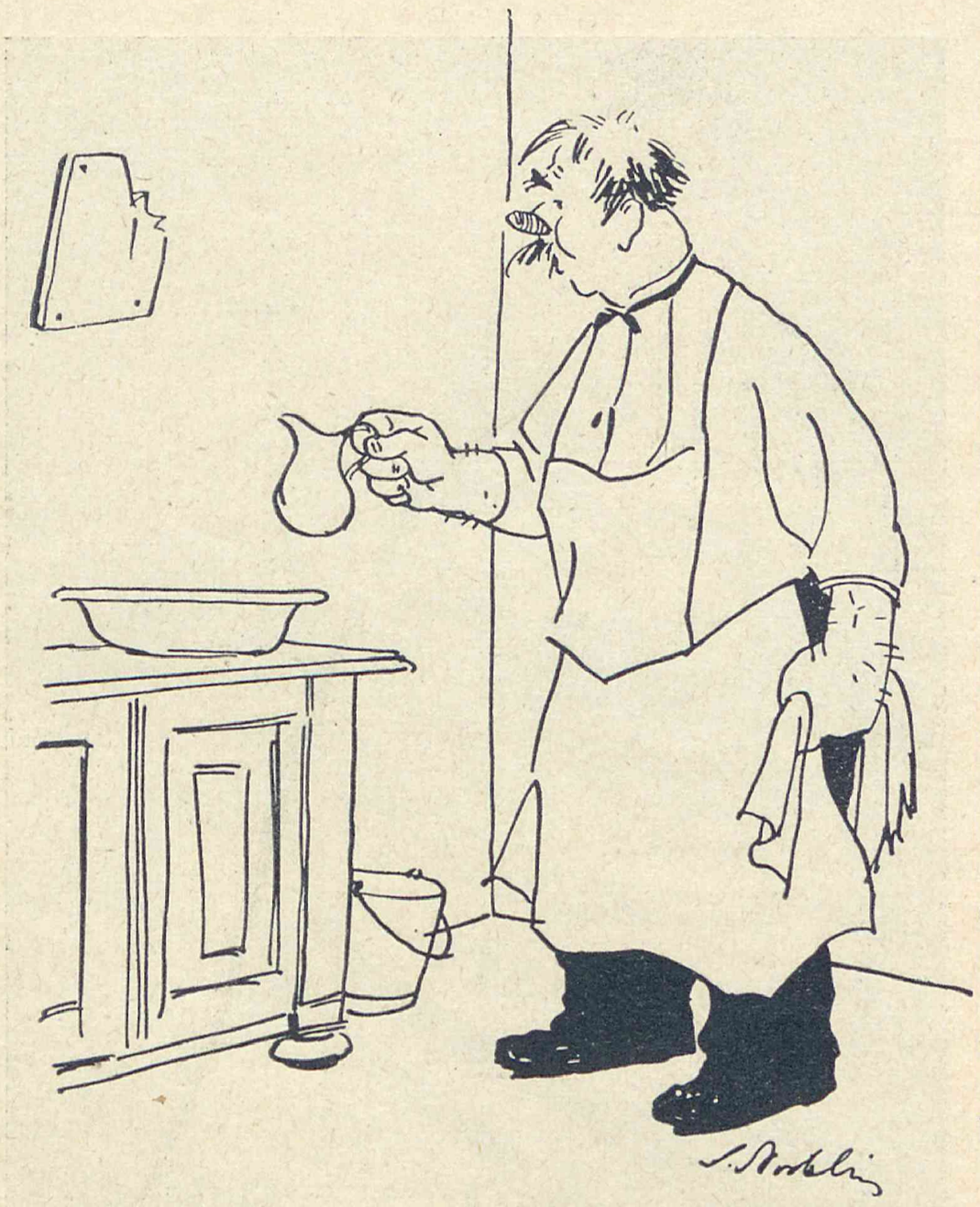

...jeden dzbanuszek wody...

lową czy teatralną, w którym jednakże na dwie zakurzone po podróży osoby podali jeden dzbanuszek zimnej wody i jeden minimalny ręczniczek. W jakimś hotelu kochanego Rzeszowa uciełam rozkoszną pogawędkę społeczną z przemiłym i mądrym staruszkiem służącym, ale zato do umywalni wolałam się nie zbliżać. Niestety, potrzeby podróżnych nie ograniczają się do mycia... Ale o tem już nietylko boję się mówić, ale nawet myśleć...

Coprawda, przyznać trzeba, że z każdym rokiem jest lepiej. Kraków, Lwów i Wilno posiadają każde po jednym doskonałym hotelu, przyczem ten najlepszy wileński — jest rozbrajająco tani. Poznańskich hoteli nie znam, ale Wielkopolska zawsze przoduje w czystości i ładzie, więc wiem, że tam nawet w małych miasteczkach może podróżny mieszkać przyzwoicie. Radom ślicznie wyremontował jeden hotel. W Kielcach można mieć staroświeckie, ale dość zacne wygody. W Łucku nareszcie założono możliwy hotelik, zamiast dawnej budy; stara się nawet biedny Żydek w Sandomierzu... Ale to mało, mało, mało! Dużą winę ponosi tu polski zwyczaj zrzucania wszystkiego na służbę. Pamiętam śliczny pensjonat w wiosce pod Interlaken w Szwajcarji, tani i skromny, gdzie właściciel był kucharzem, jego żona pokojówką, a dorosły syn prowadził garaż dla gości. Ciekawam, ile też żon polskich hotelarzy sprawdza czystość wynajmowanych pokoi? Wiem, że rośnie zastęp kulturalnych gospodyń w świetnie prowadzonej szkole hotelarstwa w Zakopanem — ale to znowu jest kropla w morzu wobec szalonego rozrostu turystyki pieszej, narciarskiej i samochodowej w Polsce. Wzorem małej gospody turystycznej może być schronisko na Górze Błatniej, Śląsk Cieszyński (należące do... Beskidenvereinu...). Ale jakże mało takich schronisk i gospód. A przecież można! — można małym kosztem i zachodem, tylko trzeba dwóch rzeczy: *dbać* i *wymagać!* Wymaganie, to dowód posiadania potrzeb kulturalnych, a więc i pewnej kultury, w każdym razie jeśli mowa o kulturze dnia powszedniego. Bojkotujmy brudne hotele, pensjonaty i cukiernie, zwracajmy uwagę niechlujnym kelnerkom, nie przyjmujmy na peronach kolejowych szklanki herbaty z zanurzonym w niej paluchem roznosiciela. Coprawda na nasze przestraszone: „co pan robi!" — jegomość odpowie zapewne: „nic nie szkodzi, nie gorące", ale... się tem nie zniechęcajmy. Pamiętam, że niedawno na dworcu w Krakowie obeszłam kilka stolików na werandzie restauracyjnej, szukając takiego obrusa, na którym możnaby bez skurczu w gardle przełknąć szklankę kawy. „Czy niema czystszego stolika?" — zapytałam bardzo uprzejmie kelnera. „Wszystkie są czysto" — odpowiedział równie uprzejmie i z najlepszą wiarą. Nie widział brudu. Nie umiał go dostrzec. Nie nauczyły go tego niczyje wymagania.

A gabinety lekarskie, dentystyczne, ambulatorja i poczekalnie!

Pamiętam w Rabce dentystę polaka, u którego musiałam dać sobie wyrwać ząb. Dotychczas nie rozumiem, dlaczego nie umarłam potem na zakażenie krwi. Niestety, nie wiedziałam, że o sto kroków dalej znajduje się czyściutki gabinet dentysty — Żyda. Tak, tak, to bywa, chociaż naogół nie można zamilczeć, że polskie dzielnice małych miast są „o całe niebo" porządniejsze, niż dzielnice obywateli - izraelitów. U lekarzy bywa naogół znośnie, chociaż częsty zwyczaj przyjmowania chorych w kąciku salonu zawalonego gratami nie jest wcale zwyczajem kulturalnym.

A zakłady fryzjerskie! Te niezdezynfekowane grzebienie, te brudne narzutki, ta ohydna szufladka, do której manicurzystka, zsynuje narzędzia. Klijentki, zapatrzone we własne i cudze loki i fioki, nie mówią nic, chociaż nieraz paplają równie uporczywe, jak i niedorzecznie. Płacić i nie wymagać—to ma być podobno szyk jaśnie pański. A może to przypadkiem ślepota i brak elementarnej kultury?

Od wymagań racjonalnych i spokojnie wyrażonych odróżniać należy zaczepność, awanturniczość i kaprysy. Nie zamierzam ich bynajmniej propagować. Człowiek kapryśny jest odwrotnością człowieka wymagającego. Żąda bowiem rzeczy niesłusznych i wcale mu się nie należących. Kaprysy dowodzą jeszcze niższej kultury, niż brak wymagań. Jest n.p. rzeczą wiadomą, że w pensjonatach i sanatorjach najbardziej grymaszą przy smacznym obiedzie te osoby, których domowy jadłospis niedaleko wykracza poza kaszę i kluski. Specjalnie skarżą się na to lecznice Ubezpieczalni Społecznej, albo kolonje dziecięce, zwłaszcza te bezpłatne... Ta sama pani, zamęczająca krawcową o każde zagięcie falbanki, przysiądzie te falbanki na zakurzonem krzesełku w cukiernianym ogródku i nie zażąda wytarcia fotela. A szatnie przy klubach sportowych? A urządzenia natryskowe? Mieści się to nieraz w brudnych, zapuszczonych kątach — i nikt nie protestuje. Jedna z najlepszych w Polsce szkół pewnej dziedziny wychowania fizycznego nie posiada wogóle szatni — ubrania rzuca się tam „na kupę" na brudny stół, bo niema nawet wieszaka. Ale... skoro nikt nie protestuje...

Wymagania uznałabym — narówni z *dbałością* — za obowiązek obywatelski i za miernik powszedniej kultury człowieka.

...boję się myśleć...

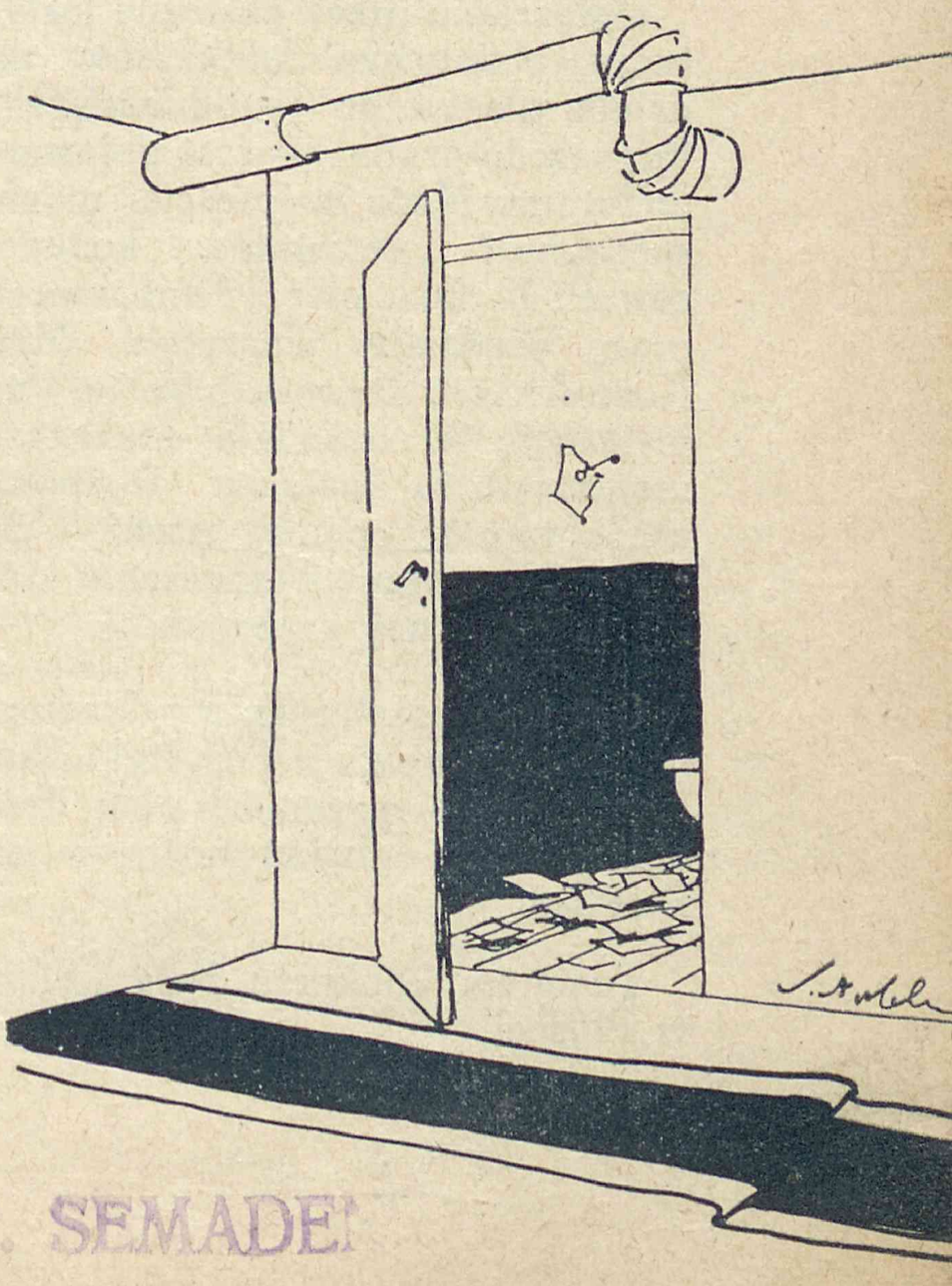

A. K. SEMADE!

I nagroda — Rogowska

Projekt zakupiony

KONKURS NA PLAKAT
WYDZIAŁU TURYSTYKI MIN. KOMUNIKACJI

Ogłaszanie przez poważne instytucje państwowe konkursów na dzieła plastyczne — od architektury aż do grafiki — jest objawem dodatnim. Może najczęściej mamy sposobność notowania konkursów P. K. O., Loterji Państwowej, oraz Wydziału Turystyki Min. Komunikacji. Dowodziłoby to, że instytucje te rozumieją doniosłość utrzymywania kontaktu ze społeczeństwem za pomocą sztuki — że rozumieją poprostu znaczenie stałej artystycznej propagandy.

Ostatnio rozstrzygnięty konkurs na plakat Wydziału Turystyki Min. Komunikacji przyniósł plon dość obfity, który oglądać można w sali IPS-u.

Tematem konkursu była „Zima w Polsce".

II nagroda — Nowicki—Sandecka

Dnia 25 sierpnia b. r. odbyło się posiedzenie Sądu Konkursowego, w skład którego wchodzili pp.: naczelnik St. Podworski (przewodniczący), prof. W. Jastrzębowski, prof. A. Bojemski, dr. Adam Zieliński (z Polskiego Związku Narciarskiego), Jerzy Remer — generalny konserwator M.W.R. i O.P., redaktor B. T. Lepecki, konsul Wyszyński, M. Piwoński i inż. Kodelski, oraz w charakterze ekspertów — kpt. Lasoń i p. Piotrowski.

Pierwszą nagrodę w kwocie Zł. 700.— przyznano *Marji Rogowskiej.*

Drugą nagrodę w sumie Zł. 500.— przyznano za pracę wykonaną wspólnie przez *Macieja Nowickiego* i *Stanisławę Sandecką*, trzecia nagroda w sumie Zł. 300.—

przypadła w udziale *Tadeuszowi Gronowskiemu.*

Ponadto wyróżniono i nagrodzono pracę *Stanisława Kosteleckiego.*

Plon artystyczny konkursu jest względnie pomyślny. Afisze nagrodzone i zakupione mają niewątpliwe zalety. Pod znakiem zapytania postawićby może należało afisz Gronowskiego, odznaczony trzecią nagrodą. Wyznać trzeba, że ten wielki bałwan ze śniegu mało ma uroku, a niedość jest zabawny, aby chociaż dowcipem mógł okupić brak wdzięku.

Szeroka przestrzeń ośnieżonych zboczy górskich, na którą położyła główny nacisk w swej kompozycji Rogowska ma dla narciarza wybitną siłę przyciągającą — a to jest w plakacie warunkiem sine qua non. Pejzaż górski i para samotnych nart i kijków — to znowu na afiszu zakupionym (autor?) jakby milczące zaproszenie. Afisz skomponowany jest dobrze, kontrasty tonów pomarańczowych i szafirowych pociągają wesołą barwnością.

Nowicki — Sandecka jak zwykle traktują temat z humorem, ale plakat ich ma za wiele figur, aby mógł uderzać silnym, skupionym efektem. Te liczne marjonetki, tak gęsto utkane na śniegu, przeszkadzają sobie wzajemnie.

Aktywny Wydział Turystyki Min. Komunikacji ogłosi zapewne dalsze konkursy na plakaty, które mogą w dużym stopniu wpłynąć na wzrost zainteresowania pięknem Polski w kraju i zagranicą.

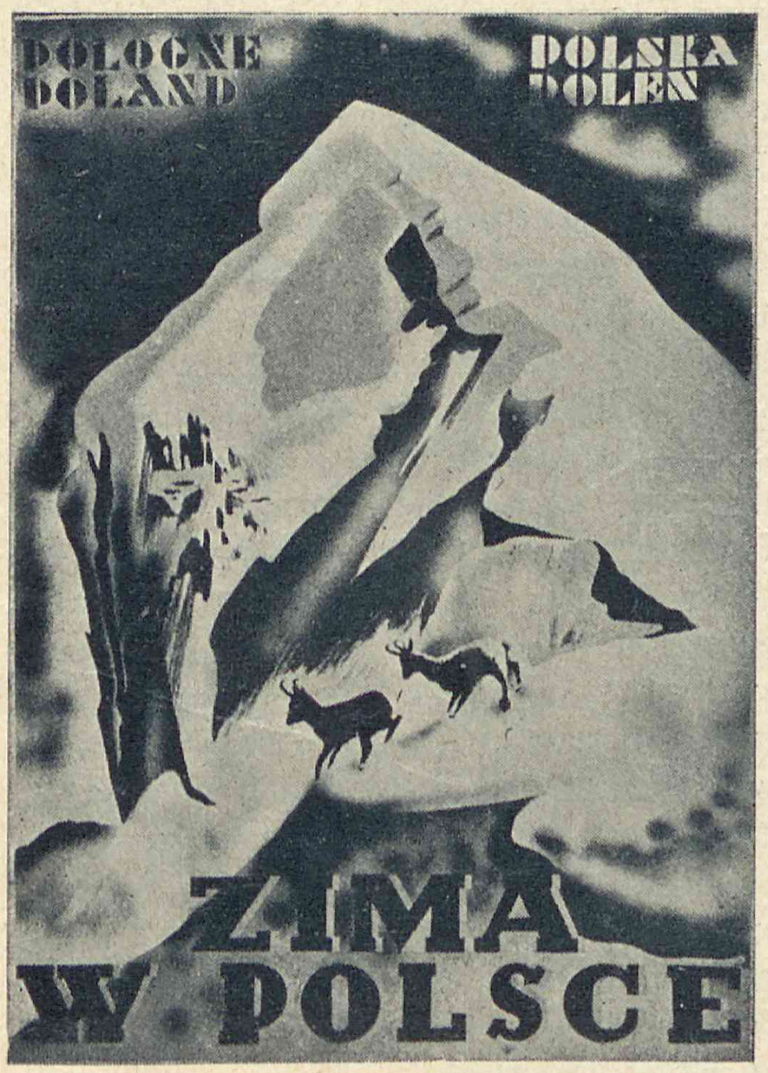

Projekt zakupiony

III nagroda — Gronowski

Z NIWY WYDAWNICZEJ

Książka W. Sieroszewskiego o Marszałku Piłsudskim w przekładzie esperanckim

Nakładem Polskiego Towarzystwa Esperantystów w Warszawie ukazała się ostatnio praca Prezesa Polskiej Akademji Literatury, Wacława Sieroszewskiego, p.t. „Marszałek Józef Piłsudski. Życiorys" (1934) w esperanckim przekładzie mgr. fil. B. Strelczyka. Przekład przeznaczony dla zagranicy, zaopatrzony został przez tłumacza szeregiem komentarzy, wyjaśniających wszystkie niezrozumiałe dla obcokrajowca szczegóły, zawarte w oryginale polskim. Szata zewnętrzna wydawnictwa przedstawia się bardzo dodatnio.

„Szpargały"

Czasopismo poświęcone miłośnictwu i zbieractwu książek oraz wszelkich osobliwości bibljograficznych, pod redakcją d-ra B. Olszewicza.

Ukazał się interesujący zeszyt 2-gi tego sympatycznego w swych założeniach wydawnictwa. Zawiera artykuły K. Piekarskiego „Pierwszy drukarz polski", J. Grycza „Tytus i Jan Działyńscy", S. Rygla „Wylewy Wisły w rysunkach naszych artystów", B. Olszewicza „O zbieraniu map słów kilka". Pozatem dział „Rozmaitości polskie", w którym znajdujemy szereg ciekawych wiadomości o autografach i rękopisach, oraz z dziedziny bibljografji, drukarstwa, wydawnictw, odczytów i wystaw. Kulturalne to czasopismo zasługuje na szerokie rozpowszechnienie wśród miłośników książek. Ma jednak pewne wady, na które czasopismo *bibljofilskie* pozwalać sobie nie powinno: bardzo niedoskonałą korektę, oraz niezupełnie celowe ujęcie niektórych artykułów. Myślimy tu specjalnie o artykule Rygla o *rysunkach*—który daje *opisy* rysunków, i tylko 2 ilustracje. Tak potraktowany artykuł z dziedziny *sztuki graficznej* mija się ze swym celem, nie daje bowiem czytelnikowi pojęcia o omawianych dziełach.

UROCZYSTOŚCI ŚWIĘTEGO

Regent Węgier, admirał Horthy

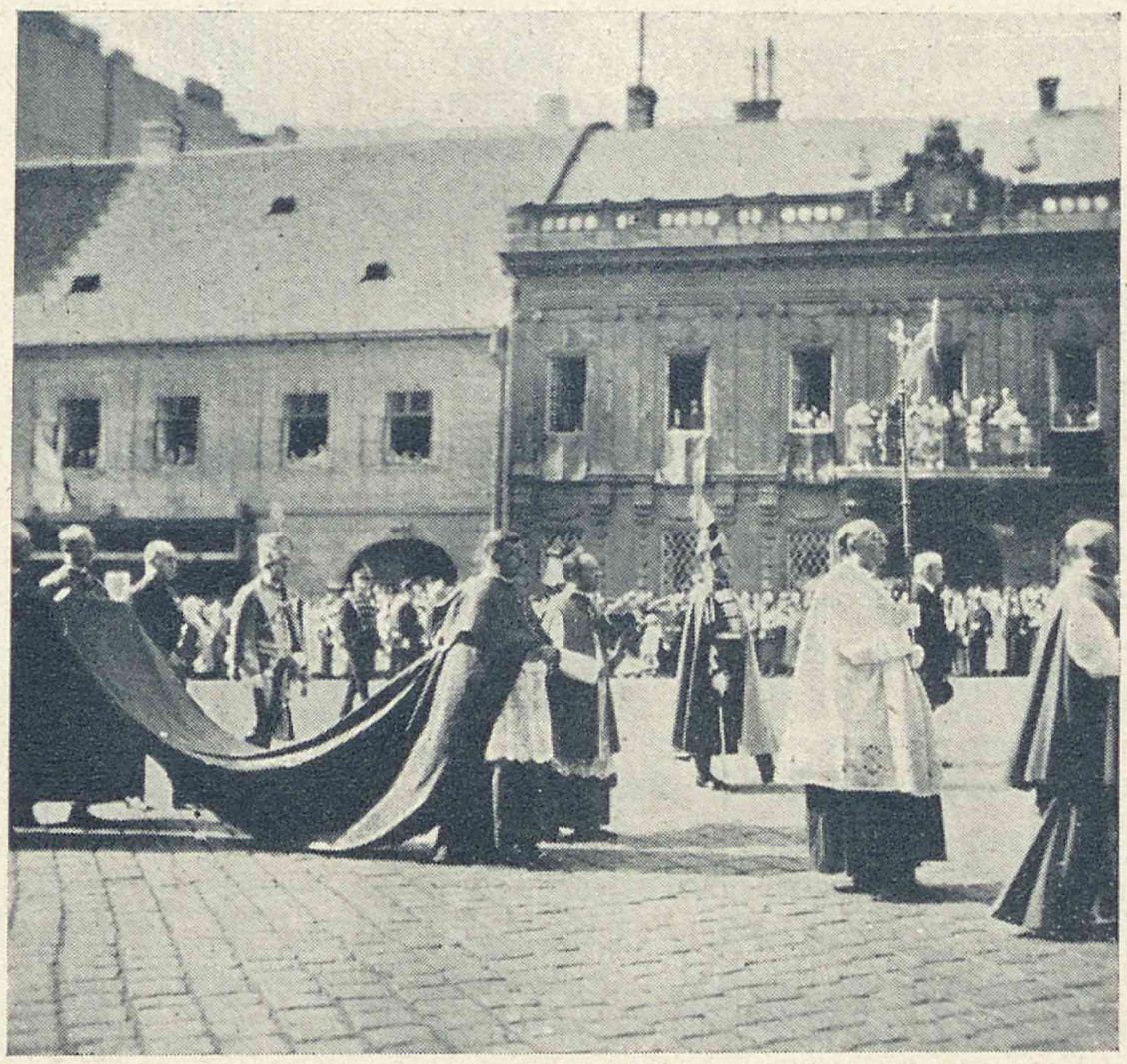

Ks. Prymas Węgier

Pięknie potrafi czcić swą tradycję naród węgierski. Przez dziewięćset lat rok rocznie składa uroczysty hołd swemu wielkiemu królowi, Świętemu Szczepanowi, który wraz ze swymi poddanymi przeszedł na wiarę chrześcijańską, położył kres koczowniczemu trybowi życia Węgrów i wprowadził zachodnio-europejskie instytucje polityczne i społeczne W roku 1000 po nar. Chr. arcybiskup Astrik, legat papieża Sylwestra II, włożył na skronie króla Szczepana koronę, która odtąd stała się symbolem prawdziwej władzy monarszej Węgier i odtąd ten tylko był za prawdziwego władcę uznany, którego skronie korona ta wieńczyła. (Odmawiano też prerogatyw królewskich Józefowi II Habsburgowi, który nie był koronowany insygniami Św. Szczepana).

Św. Szczepan położył podwaliny potęgi, cywilizacji i życia gospodarczego Węgrów. Otworzył nową erę w egzystencji swego narodu i wskazał mu drogę na przyszłość.

To też pamięć o wielkim królu trwa w narodzie i najwspanialsze uroczystości poświęcane są temu władcy - apostołowi. Uroczystości te odbywają się głównie w Budapeszcie między 14 a 20 sierpnia, obfitują w najrozmaitsze imprezy kulturalne, sportowe, wojskowe, gospodarcze, a przedewszystkiem narodowo - religijne. Punktem kulminacyjnym zaś jest w dniu 20 sierpnia wspaniała procesja, podczas której relikwie św. Szczepana zostają przeniesione z zamku królewskiego do kościoła koronacyjnego, gdzie odbywa się uroczyste nabożeństwo, a następnie z powrotem zostają przeniesione do zamku królewskiego.

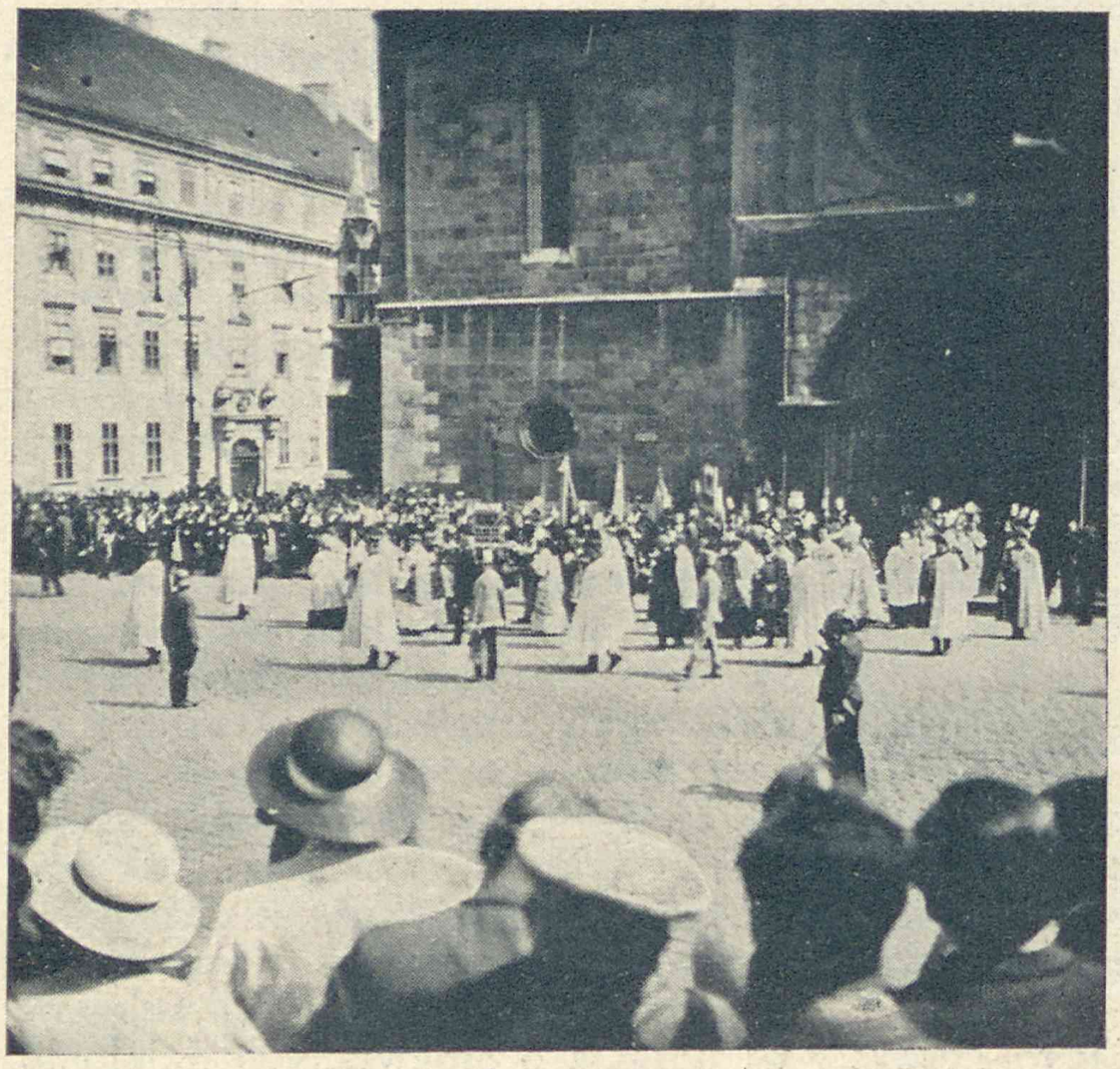

Procesja opuszcza kościół Koronacyjny

SZCZEPANA W BUDAPESZCIE

Zakonnicy

Wieśniacy w barwnych strojach

W procesji bierze udział kwiat społeczeństwa węgierskiego. Roztacza ona najwspanialszy przepych, niespotykany już w Europie. Barwne stroje ludowe, wojskowe i magnatów nadają jej wyjątkowy koloryt. Idą najpierw delegacje wieśniaków i wieśniaczek ze wszystkich stron Węgier, następnie mnisi i zakonnice, dalej wojsko i byli kombatanci, potem magnaci we wspaniałych tradycyjnych strojach i oficerowie dawnych pułków gwardji węgierskiej; dalej duchowieństwo z prymasem Węgier, wreszcie w otoczeniu królewskiej gwardji niesione są relikwie Świętego Szczepana, za któremi postępuje regent królestwa Węgier, admirał Horthy, w otoczeniu najwyższych dostojnikcw państwa. Oddziały wojsk, cechy i delegacje instytucyj społecznych zamykają ten wspaniały korowód, który powoli posuwa się naprzód przy dźwiękach orkiestry i biciu dzwonów. Droga zaś, którą procesja przechodzi, obstawiona jest tłumami ludności, która w skupieniu i powadze oddaje hołd pamięci wielkiego króla.

Wieczorem zaś tegoż dnia wspaniale iluminowana Skała św. Gellerta, stojąca nad Dunajem w środku Budapesztu, płonie od ogni sztucznych, nadających jej niesamowity wygląd. A miljonowe przepyszne miasto kipi i wre od przelewających się w niem tłumów, przybyłych nietylko z całego kraju, ale i zagranicy, by podziwiać wyjątkowe i nie dające się zapomnieć uroczystości Św. Szczepana.

Dr. J. Warszawski.

Budapeszt, sierpień 1934.

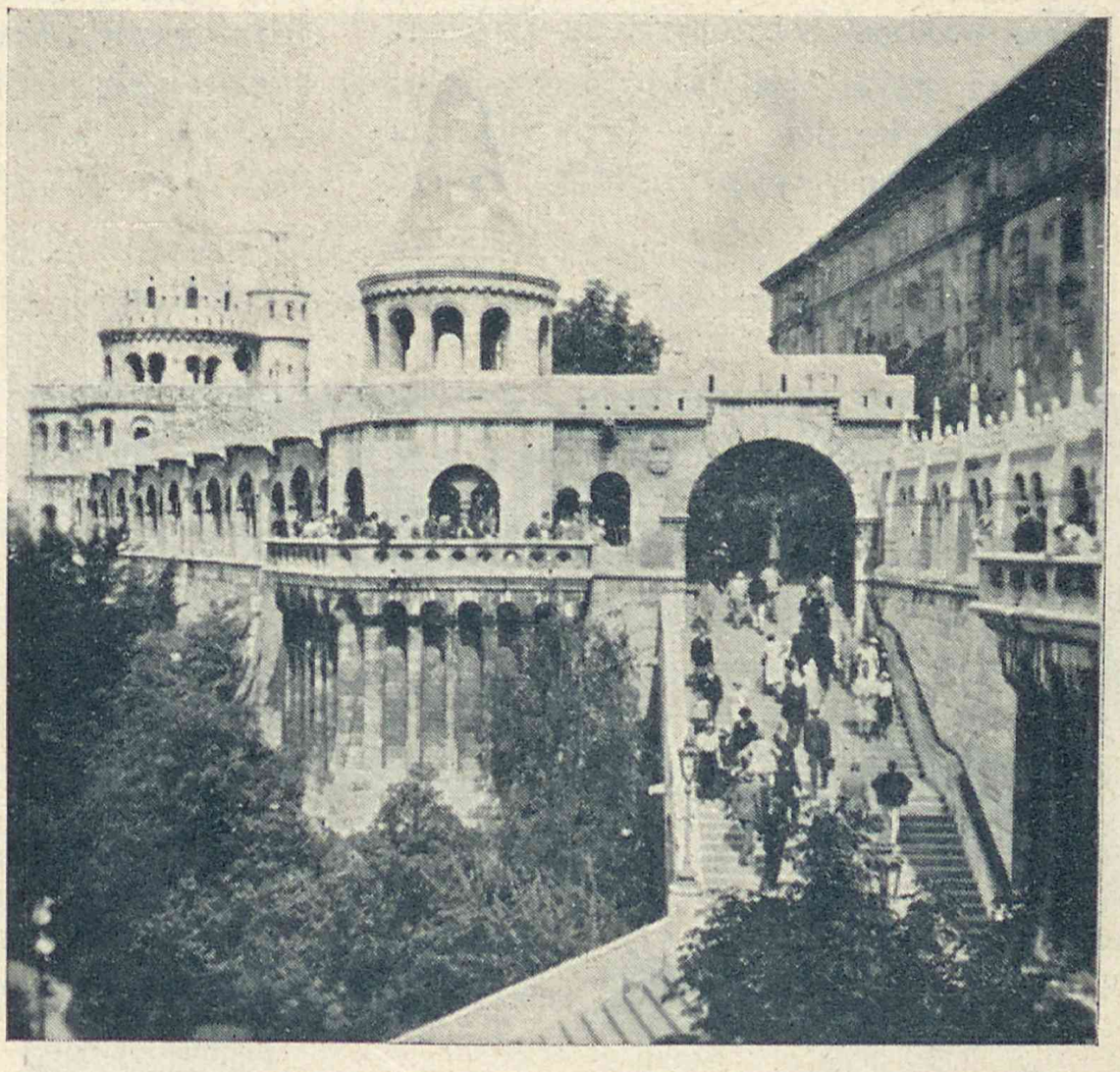

Twierdza rybacka w Budapeszcie

TO I OWO O DZIWACTWACH

1. Chłopcy mnie nie chcą?
Ponaszywam ich sobie na kostjumie.

Ongi pielęgnowano dziwactwa prywatne, domowe, na użytek własny i ku utrapieniu najbliższej rodziny. Dzisiaj płynie ku nam — ku biednej, staroświeckiej Europie — fala dziwactw nowoczesnych, made in U. S. A. oczywiście

Czem się od dawnych różnią?— Brakiem bezinteresowności.

Dziwactwa te są, że się tak wyrazimy, na eksport. Wymyślone mozolnie ku epatowaniu bliźnich. Służą najzwyczajniej w świecie ku reklamie.

Ku autoreklamie, rzecz prosta.

Ptasi móżdżek jakiejś przeciętnej amerykanki nie daje jej żadnych szans wypłynięcia na falach intelektualizmu? Uroda — mierna — nie obiecuje sukcesów w Hollywood? Cóż ma biedactwo począć, aby zwrócić na siebie uwagę najszerszej publiczności, bez czego amerykanka uroku życia nie rozumie? Mozoli się póty, niebożę, póki nie obmyśli ekscentryczności, przed którą staną z rozdziawionemi paszczami wszyscy: od tragarza kolejowego aż do męża stanu.

A to, że jej „dziwactwo" koliduje najczęściej z elementarnym smakiem, taktem lub zwykłą godnością ludzką — naprawdę nie martwi jej wcale.

Więc organizuje konkurs... siedzenia na lodzie. Tak, bez przenośni, naprawdę. I znalazła się taka, która dla jednodniowej sławy wytrwała nago na bryle lodu przez siedem czy osiem godzin.

Inni ustawiają na piętrowym słupie maleńką tacę okrągłą, o średnicy $^3/_4$ metra. I na tej tacy urządzają... konkurs tańca. Do upadłego, do utraty równowagi.

Jakaś pomysłowa panienka, która uważała, że młodzież w życiu niedość ją otacza, postanowiła na to zaradzić: na kostjumie kąpielowym ponaszywała sobie całą serję sportowców w ruchu. Jeden rzuca dyskiem, inny kopie piłkę, ten gra w golfa, ów się ślizga, jeszcze inny sunie na nartach. Zachwycona swoim idjotycznym pomysłem dziewoja otoczona była nazajutrz tłumem gawiedzi na plaży. Widzimy, jak jest z siebie zadowolona, gdy jej przymocowują na biodrze jeszcze jednego sportsmena. (ilustracja 1). Czy to jest estetyczne? Czy ma jakąś wartość, oprócz swej dziwaczności? — No ma, dla owej panienki: nazwisko jej było wydrukowane w gazetach. Miss Elinor Edmondston, do usług.

Ta druga jest dyskretniejsza. Wszyscy już noszą paznogcie lakierowane na różowo, na czerwono, wreszcie na kolor sukni: zielone, szafirowe, złote. Postanowiła więc paznogcie... ozdobić malowidłem (ilustr. 3). Na jednym palcu kazała wymalować serce, na drugim portret narzeczonego, na trzecim prezydenta Roosevelta — (a któż jej zabroni?) — na wielkim palcu— słonia, a na serdecznym— dolara. Czy może być coś obrzydliwszego?

Inna brzęczącym dzwonkiem przystroiła podwiązkę. Jeszcze inna każe sobie tatuować plecy, i jak stary marynarz, nosi na sobie in effigie wszystkie swoje kolejne flirty. Ponętnie wygląda taki katalog, niema co mówić...

Mężczyźni są w pomysłach cięższej wagi. Więc jakiś makabrycznym humorem obdarzony jegomość — członek klubu „Post - Mortem" w Chicago — zapisał swym kompanom klubowym... swój szkielet. I uprzejmie prosił, aby mu pozwolono asystować przy ich ucztach, gdy już z niego zostaną właśnie tylko te suche kosteczki. Oto przy apetycznym breakfascie siedzi całe towarzystwo, z minami dość rzadkiemi, przyznać trzeba (il. 2). A szacowny szkielet Mister J. Mc Adou z sardonicznym uśmiechem prezyduje przy stole. Dobrego apetytu i wesołej zabawy...

Lustucru.

2. Kościotrup jako wesoły kompan podczas uczty klubowej w Chicago.

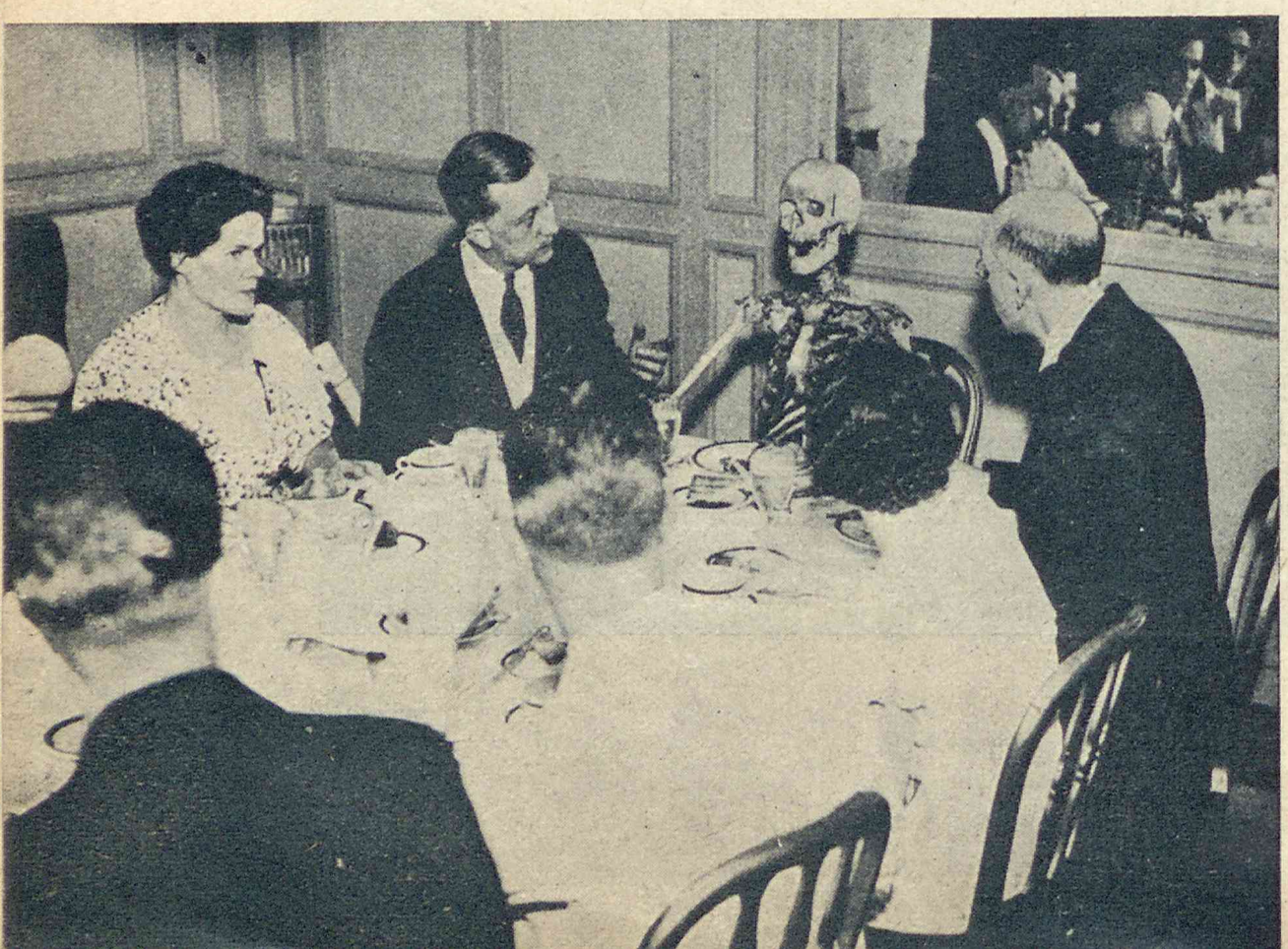

3. Już się nie będzie mówiło: „z sercem na ustach" — lecz: „z sercem... na paznogciu".

ŚWIAT TEATRU

Teatr Letni
„Człowiek, który nie pije"

Krotochwila w 3-ch aktach Wincentego Rapackiego. Reżyserował E. Chaberski. Dekoracje St. Jaroc-kiego.

Wincenty Rapacki zna scenę i jej tajemnice. Wie, jakie efekty podobać się muszą szerokiej publiczności. Jest prosty i pragnie zabawić. Nie wspina się na koturny i nie chce budować satyry obyczajowej. Dba o poprawność formy i płynność akcji, nie unika szablonów, nie sili się na oryginalność. Chce powodzenia, chce napisać bezpretensjonalną normalną krotochwilę. Oto jego program realny— bez blagi i pozy.

Program ten udało się autorowi zrealizować. Środowisko ludzi przeciętnych, pierwszych-lepszych, ludzi żyjących „awansem", zwycięstwem „faworyta" z Pola Mokotowskiego, podobaniem się władzy, przypodobaniem dyrektorowi — znajduje w Rapackim obserwatora-fotografa starannego i wnikliwego.

Płaskie życie i płaska zabawa— jakże częsta i powszednia — znalazły w „człowieku, który nie pije" odzwierciedlenie ścisłe i zgodne z rzeczywistością. Te dowcipy, te uwagi o piciu i o prawdzie pijackiej, wszystko to w każdej kamienicy, na każdem piętrze może być i jest wygłaszane na św. Piotra, i na św. Jana, Feliksa, Józefa, Władysława czy Marję.

Nic dziwnego, że śmiano się, bawiono, oklaskiwano autora i wykonawców. Realizacja sceniczna była dobra, kipiała życiem, a nadane zespołowi tempo przyczyniło się do powodzenia przedstawienia. Chaberski jako reżyser pchnął cały zespół w wir djalogu i akcji — dzięki czemu scena żyła, a braki tekstu ginęły w kulisach. Nie sposób wymieniać wszystkich nazwisk z programu, trzeba jednak podkreślić, że Znicz stworzył figurę kapitalnie zabawną, nie raził szarżą i czy na trzeźwo, czy po pijanemu, w pedanterji, czy „szale" podbijał tem, co stanowi pierwszy walor każdego rzetelnego artysty: szczerością i wdziękiem osobistym. Lubieńska żywa i wesoła — zawsze dobra w rolach współczesnych, miała jeden ze swych lepszych wieczorów. Janecka jest, jak wiadomo, niezawodna, Łapiński — z powodzeniem przewodził zabawnej kompanji, gdzie prym wiedli Różańska, Hnydziński, Chmielewski, Munclingrowa.

Osobna uwaga należy się drobnej scence „interesanta".

Ten błahy fragmencik, wyjęty żywcem z pod patronatu Imć Biurokracego, podpatrzony przez autora doskonale, został przezeń odtworzony z subtelną ironją i odegrany świetnie.

L. Ch.

„Człowiek, który nie pije" Rapackiego, w Teatrze Letnim

Nowy sezon Teatru Ateneum

Na rok 1934 — 35 dyrekcję Teatru Ateneum w Warszawie objął znany aktor i doświadczony reżyser, Wiktor Biegański. Postanowił on stworzyć nowy rodzaj przybytku Melpomeny — przeznaczony w założeniu dla najszerszych warstw. W tym celu opracował Biegański plany zarówno finansowe, jak repertuarowe.

Teatr Ateneum będzie teatrem tanim. Chce być teatrem dla publiczności pracującej dogodnym. Chce dać ludziom pracy, mieszkającym na krańcach Warszawy, możność bywania w teatrze. W tym celu wprowadzono kilka pożytecznych inowacji. Przedewszystkiem przedstawienia będą codziennie dwa: pierwsze o godzinie 6-ej, dla tych, którzy nie chcą przez późny powrót do domu psuć sobie następnego dnia pracy, oraz dla licznych mieszkańców Żoliborza, Podkowy Leśnej czy Brwinowa, którzy dotychczas wyrzekali się teatru wogóle z powodu jego późnej pory. Drugie przedstawienie, dla normalnej publiczności miejskiej, odbywać się będzie o 8-ej min. 30.

Ceny na oba przedstawienia będą przystępne: na przedwieczorne od 50 gr. do 3,50, a na wieczorne od 70 gr. do 5 zł. Przedstawienia te będą różne. Więc np. na premjerę przedwieczorną przygotowano „Ułanów księcia Józefa", pogodną krotochwilę ze śpiewami i tańcami Mazura, w artystycznem opracowaniu i przy udziale znakomitego zespołu tanecznego Janiny Mieczyńskiej. Na przedstawienia wieczorowe idzie „Pani X" Bissona, ze znakomitą artystką Ireną Solską w roli głównej.

Działalność swą rozpoczyna Ateneum pod nową dyrekcją dnia 14 września, obu premjerami jednego dnia. Zaznaczyć należy, że dla wciągnięcia najszerszych warstw do rzesz miłośników teatru, Ateneum ogłasza dwa konkursy z cennemi nagrodami.

Marjusz Maszyński w Krakowie

(w) Niejako prologiem do nowego sezonu w teatrze im. Słowackiego w Krakowie są gościnne występy Marjusza Maszyńskiego.

Świetny ten artysta zapoznaje Kraków z ostatniemi swemi kreacjami w komedjach „Zwyciężyłem kryzys" oraz „Domek z kart". Maszyński w towarzystwie doskonałej partnerki, p. Jaroszewskiej, czuje się znakomicie i porywa humorem. Dekoracje Karola Frycza przypominają najświetniejsze okresy sceny krakowskiej.

Publiczność krakowska, dzięki niefortunnym eksperymentom teatralnym bardzo ostrożna i nieufna, zachwyca się grą warszawskiego gościa i zapełnia widownię do ostatniego miejsca.

HUMOR ZAGRANICZNY

POTULNY MĄŻ

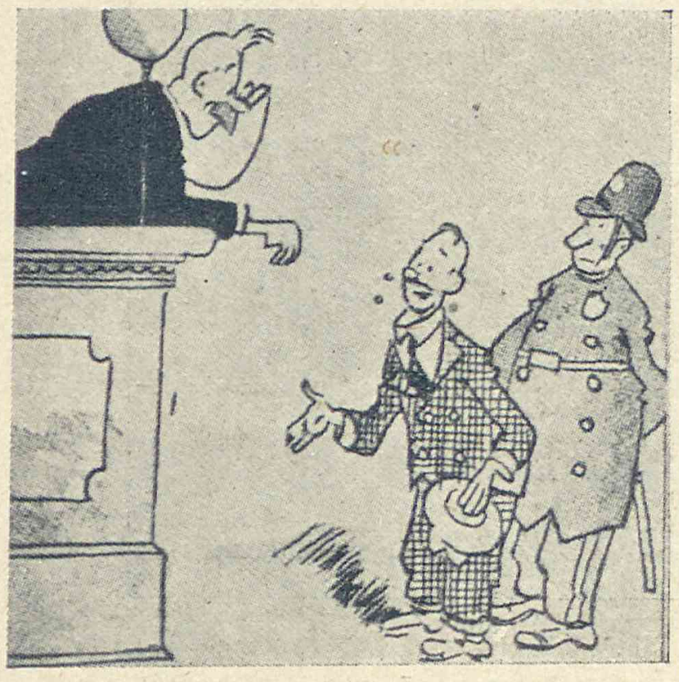

— Co za pomysł, żeby w biały dzień strzelać do przechodnia?

— Moja żona nie pozwala mi wychodzić w nocy.

W LWIEJ KLATCE

— Pańska teściowa chce z panem mówić.

— Proszę ją tu wpuścić.

MNEMOTECHNIKA

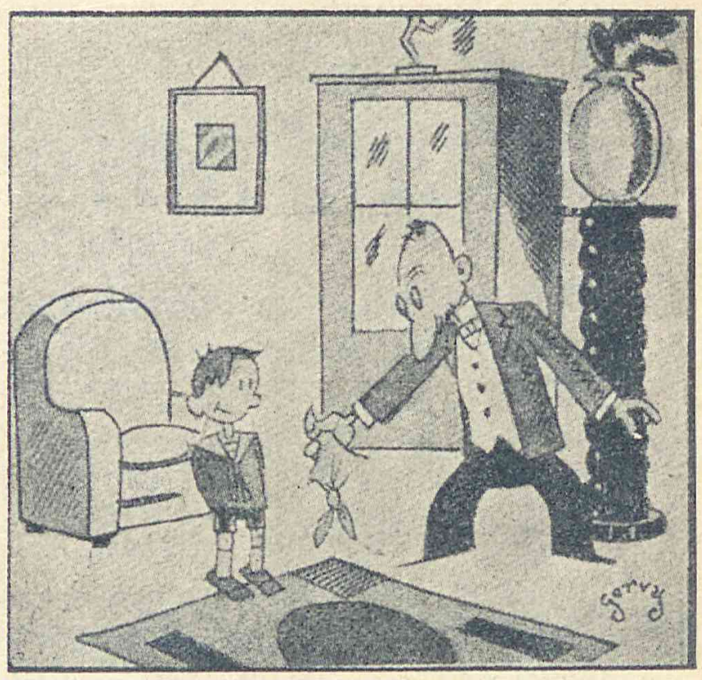

— Co znaczy ten węzeł na twej chustce?

— To mamusia kazała mi go zrobić, żebym nie zapomniał wrzucić listu do skrzynki.

— I wrzuciłeś?

— Nie, mama zapomniała dać mi listu.

PLEBISCYT

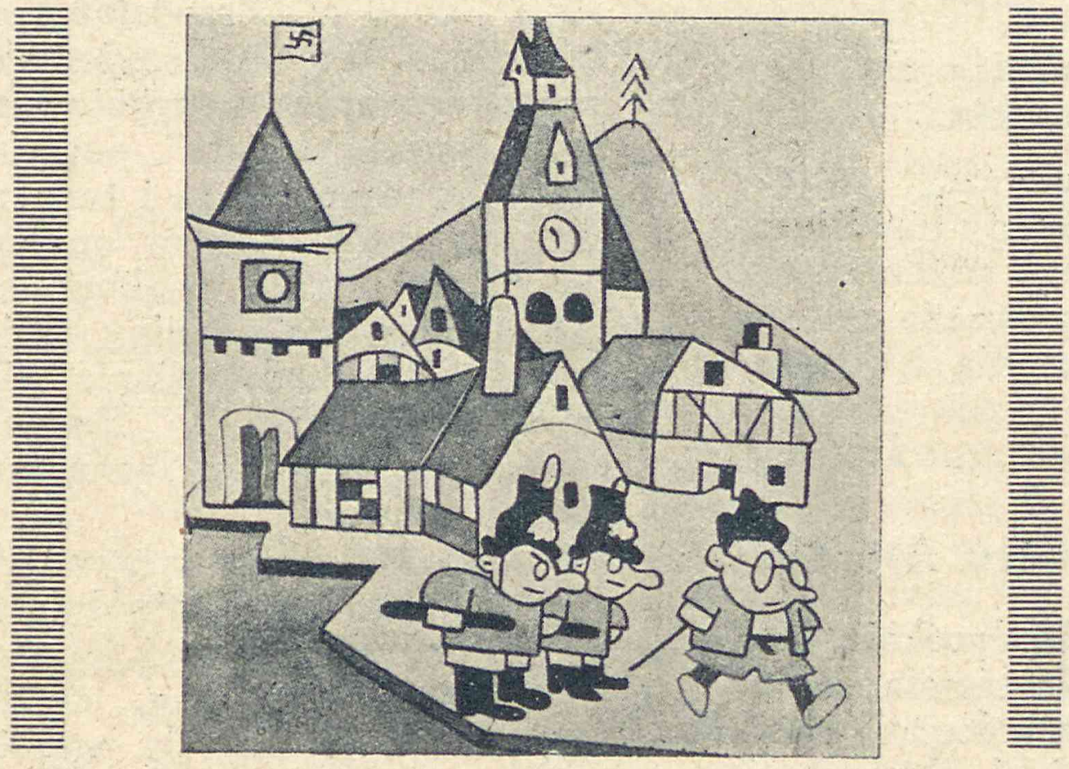

Ten to „umiarkowany"... głosował tylko trzy razy.

DOBRA NOWINA

— Ciesz się, mam doskonałą wiadomość, zorganizowałem ci następny mecz na jutrzejszy wieczór.

PORADA LEKARSKA

JAK KUBA BOGU...

Dodaj mu parę fałszywych tonów.
Znów nam rzucił ołowiany grosz.

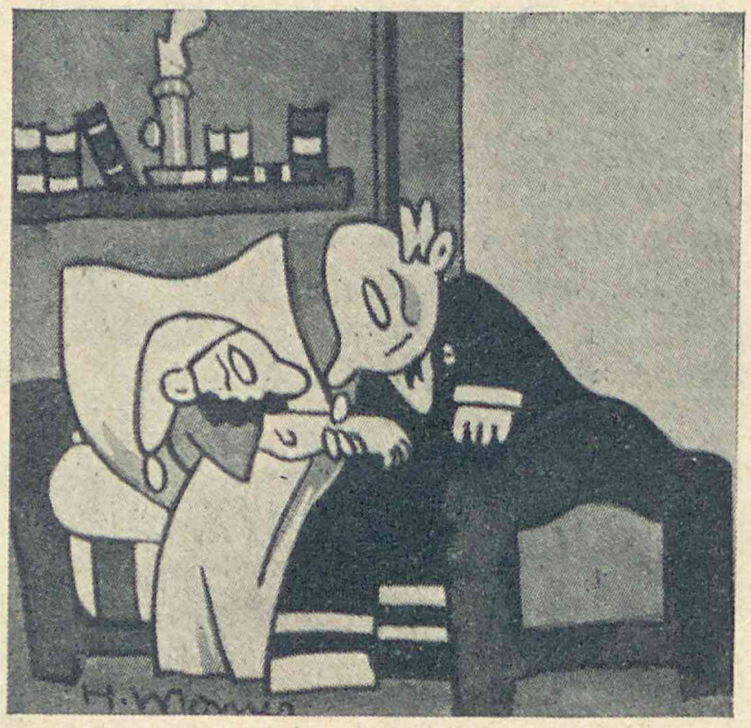

— Jaki jest pański zawód?

— Jestem poborcą podatkowym, panie doktorze...

— Aha! W takim razie niech pan jak najdłużej nie opuszcza łóżka!

FOTOGRAFJA

— Uprzedzam pana, moja żona jest bardzo nerwowa.

— Zdejmę ją na papierze „bromowym"

Motory i muskuły

Automobilklub Polski łącznie z Regjonalnemi Afiljowanemi Klubami Automobilowemi organizuje, w dniu 15 września 1934 roku, VIII Polski Zjazd Gwiaździsty pod nazwą: Ogólnopolski Zjazd Gwiaździsty do stolicy, w związku z zakończeniem Międzynarodowego Turnieju Lotniczego.

W porozumieniu z Aeroklubem R. P. zarezerwowane zostanie w dniu 16 września r. b. na terenie lotniska pomieszczenie na park samochodowy, skąd uczestnicy Zjazdu będą mogli swobodnie obserwować przebieg zawodów lotniczych.

Będzie to wielka rewja niedobitków samochodowych w obecnym okresie kryzysu automobilowego, gdyż spodziewany jest zjazd około stu pięćdziesięciu maszyn.

Impreza ta bowiem jest niesłychanie atrakcyjną tak ze względu na skrzyżowanie jej z zakończeniem Międzynarodowych Zawodów Lotniczych, jak również ze względu na sam regulamin, bardzo ciekawie opracowany przez komandora Zjazdu, p. Zeydowskiego; dzieli on bowiem samochody na dwie kategorje: turystyczną i sportową.

W kategorji turystycznej obowiązuje przebieg minimum 100 klm., maksimum 400 klm. ze średnią szybkością 45 klm. na godzinę.

Na ostatnich dziesięciu klm. przed metą będzie zachowane tak zwane „non stop", to znaczy, że wszelkie rozmyślne i stwierdzone przez lotne kontrole Automobilklubu Polski zatrzymania samochodu na tym odcinku ostatnim będą karane 50-ciu punktami karnemi.

W kategorji sportowej obowiązuje przebieg minimum 500 klm. ze średnią szybkością 55 klm. na godzinę.

Za każdy przejechany według szlaku Automobilklubu Polski, stwierdzony, według dowodów, obliczony i zaliczony kilometr przebytej trasy otrzymuje zawodnik punktów dodatnich 2.

Za każdą osobę znajdującą się przez cały czas jazdy na wozie otrzymuje punktów dodatnich 50, przyczem większa ilość niż 4 osoby nie będzie brana pod uwagę.

Za nieosiągnięcie obowiązującej minimalnej średniej szybkości 40 punktów ujemnych za 1 klm. różnicy.

Przy klasyfikacji do nagród licznie zgłoszonych decyduje ostateczna suma punktów dodatnich.

Niezależnie od nagród, każdy zawodnik kończący Ogólnopolski Zjazd Gwiaździsty do Stolicy otrzymuje plakietę z odpowiednim napisem.

MECZ POLSKA NIEMCY

Warszawa przeżyła swój wielki mecz. Spotkanie piłkarskie Polska-Niemcy zgromadziło 40 tysięcy widzów na Stadjonie Wojska Polskiego. Specjalne pociągi zwoziły zwolenników popularnego sportu. Spotkanie przegraliśmy w stosunku 5 — 2! Abonament na polskiego „pecha" nie został wyczerpany. Fotografje nasze przedstawiają dwa momenty zaciętej walki o piłkę.

Fot. W. Brzozowski

Ulica Kamienne Schodki w Warszawie
Fot. Worobejczyk

J. M. TAYLOR

JAK PRACZKA ZE STAREGO MIASTA Z KRÓLEM ROZMAWIAŁA...

— Zamieńmy się ustami, ja tobie dam czerwone!... La la la! — śpiewała na całe gardło Anielcia, piorąc z zapałem różowe, zielone i niebieskie półkoszulki, przypinane mankiety i inne części eleganckiej bielizny męskiej.

Nauczyła się kiedyś tej piosenki, ale więcej słów nie zapamiętała. Tylko początek. Ale i to jej wystarczało. Znała melodję, to już i mogła nucić, a wiadomo, że przy śpiewaniu robota idzie człowiekowi raźniej. Półkoszulki i mankiety aż skrzypiały pod naciskiem jej rąk, pozbywając się grubej warstwy brudu, a mała balijka uginała się cała i kołysała na drewnianym stołku, przysuniętym do samego okna.

— Widzicie ją — wzruszała ramionami sąsiadka. — Czego to się takiej zachciewa. Dziewczyna brzydka jak grzech i niemłoda. Ktoby się tam z nią zamieniał ustami. Moja pani — dodała głośno, wychylając się ze swego okna. — Co to się pani dziś tak nadziera?

— Oho, ho! — rechotała Anielcia i usta jej przytem otwierały się od ucha do ucha, ukazując zepsute czarne zęby. — Wesoła jestem. Cyganka mi rano królewicza wywróżyła.

—Co pani mówi — zaciekawiła się sąsiadka. — I jakiegoż to królewicza?

Przedzielało je wprawdzie całe podwórko, ale takie na dwa kroki wzdłuż i tyleż wszerz. Kamieniczka była staromiejska, maciupka. Takich podwórek próżnobyś szukał gdzieindziej poza tą dziwaczną uliczką, co nosi nazwę Kamiennych Schodków. I okien tam było niewiele. Tyle co te dwa na niskim, zapadniętym w ziemię parterze, a trzecie na piętrze, gdzie mieszkał mechanik z żoną i dwojgiem dzieci.

Anielcia zajmowała jedną izdebkę, a w tej naprzeciwko mieszkała szewcowa, której mąż miał własny warsztat na Bugaju. Zamożni byli. Gdzie im tam do biednej praczki? Ale kobiety rozmawiały. Czemu nie? W ciągu dnia trzeba przecież do kogoś usta rozewrzeć.

A ten królewicz zaciekawił szewcową. Wiadomo było przecież, że cyganka, co przychodzi tu czasem, zawsze mówi prawdę. Jak kiedyś wywróżyła kradzież jej mężowi, to zaraz nazajutrz jakiś nicpoń-wycieruch ściągnął z wystawy na Bugaju trzy pary najlepszych kamaszy pasowych.

— O, mój Boże! — klasnęła w ręce szewcowa, dowiedziawszy się dalszych szczegółów przepowiedni cyganki. —Młody brunet i z czarnemi oczami, to jakiś chyba nie nasz i może nie królewicz, tylko książę. Ale i toby było dobrze, moja pani. Tylko, czy to, moja pani, aby prawda? — zwątpiła naraz, podpierając brodę rękami.

Anielcia mrugnęła jej tajemniczo.

— Prawda — oświadczyła z przekonaniem. — Szczera prawda. I, moja pani, przyznam się, że teraz dałabym tej cygance nawet więcej. Bo to wszystko już się przecież sprawdziło.

Dalsze zwierzenia odbyły się w izdebce Anielci, dokąd przyleciała natychmiast zemocjonowana szewcowa. A, po dłuższej rozmowie, prowadzonej przyciszonym szeptem, ucałowała ze wzruszenia spotniałą, zaczerwienioną twarz Anielci.

— Ile też pani obiecała za przysługę temu facetowi? Pięćdziesiąt złotych? Hm, duży grosz, moja pani, ale warto, bo to przecież wielki los. Mój Boże! Mąż haruje od rana do wieczora i ja też, a przecież nam takie szczęście jakoś się nie trafiło. Ha cóż — dorzuciła z westchnieniem. — Jednemu szydła golą, a drugiemu i brzytwy nie chcą. Tak już jest na tym świecie. Tylko, moja pani... moja pani, czy to aby pewny facet?

— Kto? Król — oburzyła się Anielcia.

— No, nie. Ale tamten, co pani tę posadę rai.

— Ehe, już ja się upewniłam —oświadczyła z dumą praczka. — Powiedziałam mu, że nie dam ani grosza, dopóki mnie nie wprowadzi do pałacu. A, kiedy już się tam znajdę, to będę przecież wiedziała, że mnie nie zbujał. A mówił tak: — „Nie będziesz się panna o nic troszczyć, bo miejsce pewne, jak amen w pacierzu. Tak się złożyło, że mój kolega z wojny jeszcze jest sekretarzem tego króla i wszystkiemi jego sprawami zawiaduje. Wezyr się nazywa. Niech panna zapamięta — W E Z Y R. Tak. On już sobie zapisał nazwisko panny i mówił, żeby panna duchem szła na Krakowskie. Kontrakt, niby umowa — powiadał — będzie na dwa lata i pensja sto złotych z życiem. A prania niewiele. Tylko dla króla i królowej. Jeszcze królowa jak królowa, ale król niedużo brudzi, bo u nich kraj ciepły, to sztywnej bielizny nie noszą prawie wcale, chyba przy jakiejś ceremonji.

— Ha, to widać pewny człowiek —zgodziła się szewcowa.

Zdjęła ją wielka zazdrość, bo na cudze szczęście patrzeć niełatwo, zauważyła więc jeszcze, ale już więcej dla własnej pociechy.

— Ano, moja pani. Ja się cieszę wprawdzie, ale trochę to mi pani żal. Ja w taki daleki świat nie pojechałabym za skarby. Może tam i dobrze w tych królewskich pałacach, ale zawsze na własnych śmieciach najlepiej.

Zato wieczorem, opowiadając o tym nadzwyczajnym wypadku mężowi, dała pełną folgę uczuciom, które targały w tej chwili jej zranioną ambicją.

— Patrz tylko — wzdychała. — Taki kocmołuch. Taka wydra kostropata. Taki... taki tłumok i ot jakie przydarzyło się jej szczęście. Będzie praczką u króla i, kto wie, może jeszcze za mąż się wyda. Taka... taka....

Długo w noc wyrzekała jeszcze, zawodząc nad głową zasypiającemu mężowi i umilkła dopiero z chwilą, gdy usłyszała, że poczciwy szewc chrapie wnajlepsze. Wtedy dała upust swemu żalowi w sposób znacznie skuteczniejszy. Rozpłakała się rzewnemi łzami, które niebawem przemoczyły do cna wspólną poduszkę małżeńską.

A nazajutrz, kiedy Anielcia wybierała się już do swego króla, szewcowa pożegnała się z nią wylewnie, obejmując pieczę na dwiema pięknemi pelargonjami, balją, łóżkiem żelaznem i stołkiem, co służył i do prania i do wypoczynku. Ubogi ten dobytek z pomocą chłopca od mechanika przeniesiono do mieszkania szewcostwa i ulokowano w miejscach dogodnych.

— Już ja, moja pani, przechowam panine graty jakby moje własne. Jak pani, czego nie daj Boże, z połowy drogi wróci, to wszystko zastanie w porządku.

Pomogła jeszcze Anielci wynieść koszyk, w którym praczka miała spakowane

sukienki i bieliznę. Na pożegnanie obie spłakały się serdecznie i ucałowały czule. A niezadługo po tem rozstaniu Anielcia, prowadzona przez swego opiekuna i dobroczyńcę, zatrzymała się z wypiekami na twarzy przed pięknym pałacem na Krakowskiem Przedmieściu. Nad pałacem łopotała wielka czarna chorągiew z dziwacznemi białemi znakami. Przed pałacem stało dwóch policjantów w galowych chełmach, a nieco dalej kupił się tłum gapiów.

Anielcię na widok tej obcej chorągwi i uroczystych policjantów ogarnęło wielkie onieśmielenie, ale zarazem też opuściły ją wszelkie wątpliwości, jakie miała jeszcze. Przejęta ogromnie, wręczyła swemu dobroczyńcy drżącemi rękami umówioną zapłatę, a on schowawszy banknot do kieszeni pogardliwym ruchem, wyjaśnił łaskawie:

— To jest właśnie flaga Afganistanu, Króla Amanullaha niema w domu jeszcze, bo wyjechał na spacer z żoną, ale wnet przyjedzie. Ma taki wielki granatowy samochód, więc zauważysz go panna odrazu. Jak tylko ten samochód zatrzyma się przed bramą, proszę podejść i ukłonić się grzecznie, a wtedy wezyr, który będzie z królem, da dyspozycję, aby pannę wpuszczono. Wezyra poznać nietrudno — dodał. Ma wspaniały błyszczący mundur i dużą czarną brodę. No, tymczasem dowidzenia. Zobaczymy się zresztą jeszcze, bo nie dziś, to jutro przyjdę do pałacu pogadać z wezyrem.

— A teraz już pan idzie? — przestraszyła się Anielcia.

Ale on machnął jej tylko ręką na pożegnanie i szybkim krokiem, jak człowiek zaprzątnięty niezwykle ważnemi sprawami, przebiegł na drugą stronę ulicy. Dziewczyna więc dźwignęła swój koszyk i przyłączyła się do tłumu gapiów, co zebrał się w oczekiwaniu na powrót do pałacu egzotycznego władcy, który od kilku dni bawił w Warszawie.

Serce biło jej jak młotem. W głowie miała zamęt. Ktoś ją potrącił, a ktoś inny rzucił złośliwą uwagę, ale ona nie słyszała nic i nie czuła, bo wyobraźnia jej pracowała w tej chwili jak nigdy, ukazując wspaniałe szczegóły zawrotnej karjery, która miała się ziścić niebawem.

Widziała samą siebie w złocistym przepychu przepysznych komnat królewskich. Widziała, jak, ubrana w śliczny koronkowy fartuszek i taki sam czepeczek, niesie królowi stos starannie wykrochmalonych półkoszulków i jak królowa układa te półkoszulki w złotej komodzie, a król wychwala swą praczkę pod niebiosa.

Długo jednak marzyć nie mogła, bo naraz wszczął się dokoła straszny gwar i zamęt, policjanci poczęli odpychać zbyt natrętnych gapiów i Anielcia zobaczyła zatrzymujące się przed pałacem wielkie granatowe auto, w którem siedział przystojny brunet, odziany w biały, kapiący od złota mundur. Tuż przy eleganckim brunecie siedziała piękna, ale bardzo blada pani, w której Anielcia odrazu domyśliła się królowej. A naprzeciwko tej pary tkwili nieruchomo wyprostowani brodacze, też w mundurach, ale szarozielonych i mniej wyzłacanych.

— Trzeba się ładnie ukłonić — przypomniała sobie Anielcia ostrzeżenie swego dobroczyńcy.

Nie tracąc czasu, wybiegła z tłumu i wykonała przed królem coś pośredniego między niezgrabnym dygiem a niewielkim podskokiem, nachylając przytem nisko głowę i wolną ręką unosząc zlekka fałdy sukienki. Podniósłszy oczy, zobaczyła, że auto wjeżdża na dziedziniec pałacu przez otwartą już bramę. Zobaczyła też, że król z królową oglądają się za nią z uśmiechem. Wtedy pognała co tchu za autem. Policjanci chcieli ją zatrzymać przy bramie. Jeden wołał coś nawet, ale ona odkrzyknęła mu bez namysłu:

— Czego znów? Mnie przecież król zgodził na praczkę.

Zanim przybiegła zadyszana do wielkich jak wrota drzwi pałacowych, auto było już puste. Król i królowa zdążyli wysiąść. Niezrażona tem wcale, pocisnęła bez obawy klamkę i wkroczyła do ogromnego przedsionka. Zobaczyła tam wiodące wgórę szerokie schody, pokryte czerwonem suknem i mnóstwo kręcących się niespokojnie ludzi o oliwkowej cerze. Wszyscy wytrzeszczali na nią zdumione oczy, a jeden w mundurze zapytał, czego szuka.

Mówił, jąkając się, łamaną polszczyzną, lecz Anielcia zrozumiała doskonale o co chodzi i wytłumaczyła mu natychmiast, że przychodzi tu na polecenie bliskiego przyjaciela niejakiego pana Wezyra, aby objąć posadę praczki królewskiej.

Czarniawy człowiek w mundurze uśmiechnął się pod wąsem i oświadczył grzecznie:

— Zaraz. Pójdę spytać króla.

Wrócił niebawem, każąc jej pójść za sobą i dziewczyna, nie bez pewnej dumy, poszła, zabierając swój koszyk. Nie była ani trochę onieśmielona, znalazłszy się w wielkiej sali, zasłanej puszystym dywanem, gdzie król siedział przy ogromnem biurku. Z jednej strony biurka stała malutka blada królowa, z drugiej zaś wysoki i szczupły mężczyzna ubrany po cywilnemu.

Wszystkim trojgu złożyła Anielcia po kolei swe dworskie dygi, zaznaczając w nich subtelne różnice, bo rozumiała przecież, że królowi należy się najniższy. A potem temu cywilnemu panu, który odezwał się do niej czysto po polsku, opowiedziała swobodnie i bardzo donośnym głosem, jak to zwrócił się do niej zaufany przyjaciel pana Wezyra, nie ukrywając przytem bynajmniej, ile mu za to dała.

Wysoki pan powtórzył to natychmiast królowi w języku, którego Anielcia nie rozumiała. Nie rozumiała też, dlaczego wszyscy troje śmieją się serdecznie. Ale śmiała się też głośno sama, bo myślała, że tak wypada i że inaczej król mógłby się na nią obrazić.

Na duszy było jej bardzo wesoło, to też jakby gromem z jasnego nieba stało się dla niej to, co usłyszała w chwilę później.

— Jego Królewska Mość ubawił się bardzo — powiedział jej wysoki pan. — Naturalnie, że to była jakaś pomyłka, a może nawet zwyczajne oszustwo, bo przecież wezyra wcale niema w Warszawie. A Jego Królewska Mość nie potrzebuje angażować obcych praczek, bo ma ich dość w Afganistanie. Za to jednak, że go pani tą przygodą ubawiła, ofiarowuje pani dwieście złotych.

Anielcia przez chwilę stała w milczeniu, spoglądając szeroko rozwartemi oczami to na króla, to na królową, to na wysokiego pana. Wreszcie odzyskała dar mowy.

— Ach, więc to tak — powiedziała krzykliwym głosem. — Macie dość własnych praczek? No to ja wam powiem, że tysiąc tych waszych praczek jednej polskiej nie warte. To widać po tym kołnierzyku, co go król ma na szyi. A i półkoszulek też spartolony. Krochmalu mu szelma pożałowała. U mnie tam jest inne zupełnie pranie, a na takiem się nie znam. Może pan to powtórzyć swojemu... królowi.

Wyszła z ukłonem, który tym razem wcale nie był głęboki ani pełny szacunku, lecz przypominał raczej szyderczy dyg, jakim szewcowa pożegnała kiedyś pewnego klienta, co chciał zamówić obuwie na kredyt. Anielcia była bardzo dotknięta w swej ambicji i zła właśnie na króla, bo o tamtym opiekunie jakoś zupełnie zapomniała. Nie zapomniała jednak zabrać swego koszyka — no i tych dwustu złotych. Zacisnęła je starannie w garści, postanawiając oddać zaraz do P.K.O. na książeczkę.

* * *

— Moja pani — oświadczyła szewcowej, skończywszy opowiadanie, w ciągu którego obie niewiasty poprzenosiły z powrotem wyrugowany na kilka godzin skromny dobytek. — Niema to, jak na własnych śmieciach.

— No, mówiłam przecież — potwierdziła z zapałem szewcowa. — Ale ja nawet rada jestem, moja pani, że to nie doszło do skutku. Szczerze mówiąc, to popłakałam się nawet, że nie będę miała z kim ugwarzyć. Dobrze, że pani wróciła.

A nieco później mówiła z oburzeniem do męża, gdy przyszedł z roboty i jadł kolację:

— Widziałeś ty kiedy coś takiego? Ta kostropata przeszła się tylko na Krakowskie Przedmieście, pogadała z królem i za swoje pięćdziesiąt złotych zarobiła dwieście. I powiedz mi teraz, gdzie tu sprawiedliwość.

ŻYJEMY W CZASACH POKOJU

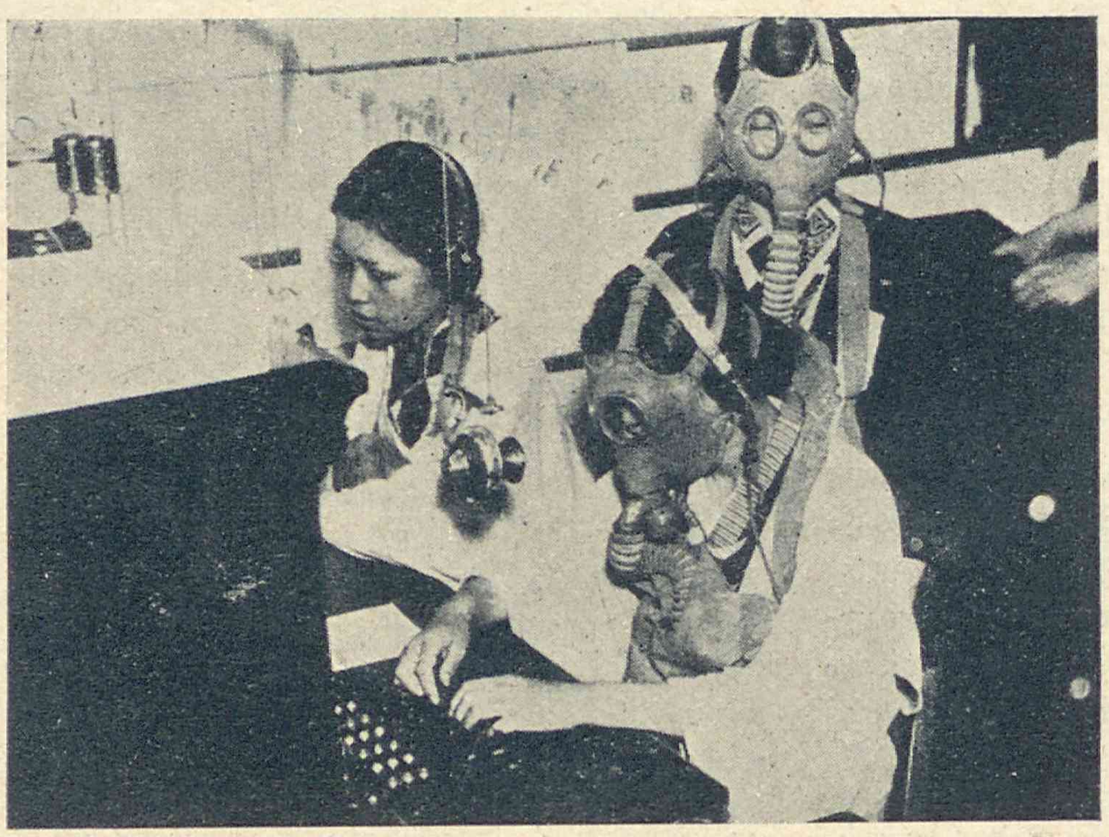

Pokój jest na wszystkich ustach, czyny jednak przeczą... dokumentalnie tej pokojowej deklamacji. Oto grupa szkockich ochroniarek odbywa ćwiczenia w maskach przeciwgazowych, oto dalej daktylografki japońskie „egzercytują" się na swych maszynach do pisania zbrojne w maski przeciwgazowe. Zapewne nie dla doskonalenia się w ortografji lub szybkości pisania włożyły córy kraju Wschodzącego Słońca te „upiększające" przybory... toalety pokojowej. A niżej chłopaczki faszystowskie, nawet nie wyrostki „trzymają straż" przy tankach. Chłopaki są dumne, zaprawiają się od poranku życia morderczemi przyrządami, demolującemi życie ludzkie bez pardonu.

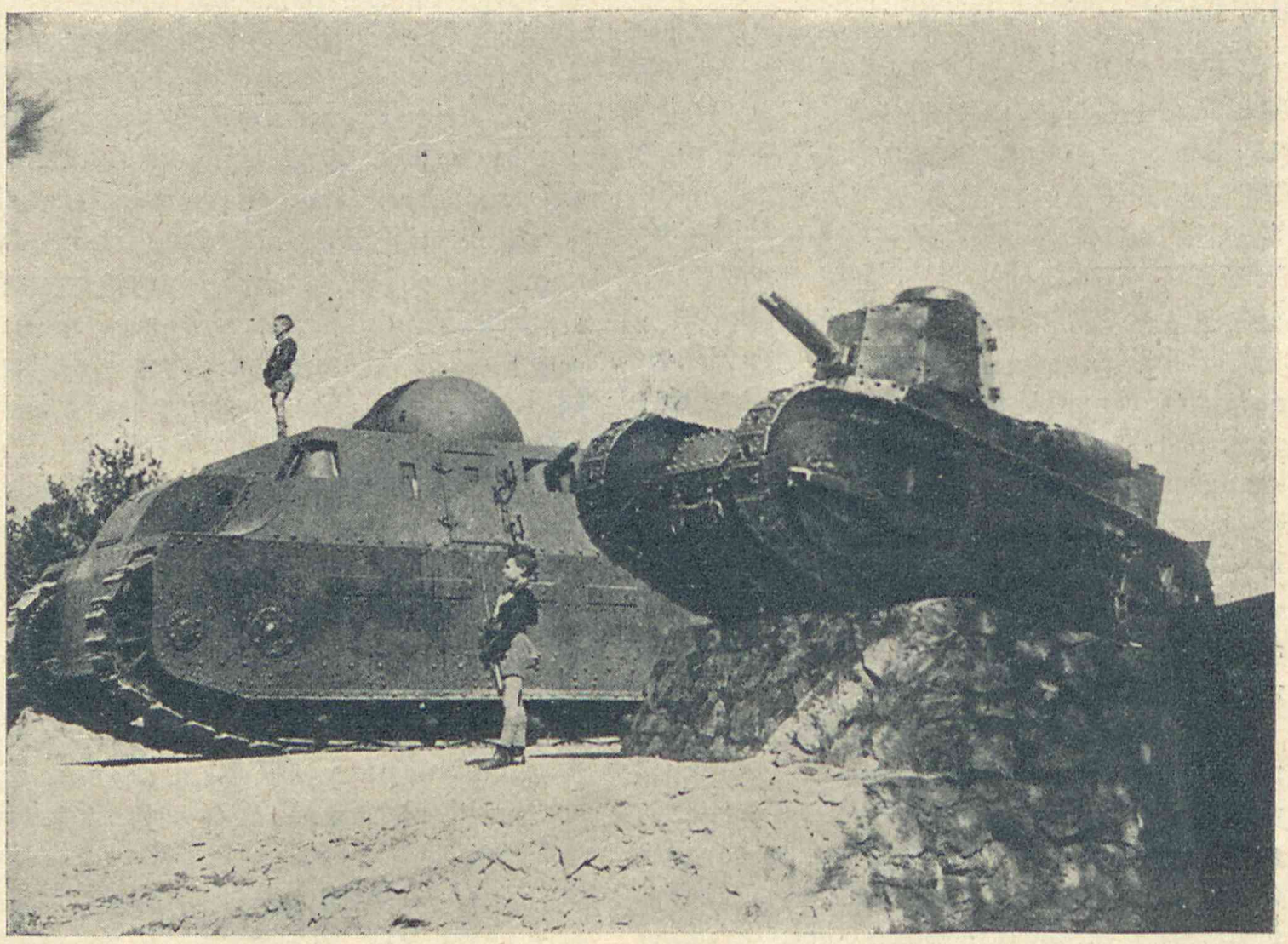

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

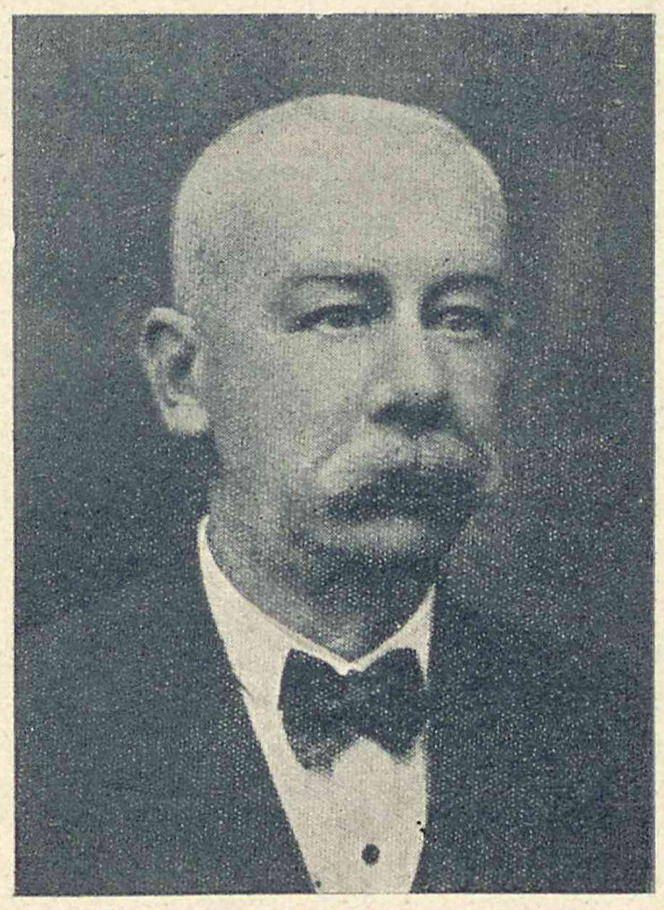

W dniu 3 września r. b., przeżywszy lat 63, zmarł długoletni kierownik ekspedycji wydawnictw M. Arcta, ś. p. ALEKSANDER LAZER.

Zmarły, w ciągu 47 lat swej zawodowej pracy, był właścicielem księgarni M. Orgelbranda, prezesem Kasy Przezorn. i Pomocy warsz. prac. księg., v. prez. Stowarz. Pracow. księg., założycielem i Starostą Klubu Sprawiedliwych Księgarzy, członkiem Zarządu Związku Prac. księg. dożywotnim członkiem Związku Prac. Handl., Seniorem W. T. W. i brał udział w „Straży Obywatelskiej".

Powszechnie szanowany i ceniony dla niezwykłych zalet charakteru — jaśniał jako przewodnik młodszego pokolenia braci księgarskiej i żywy przykład cnót tego zaszczytnego zawodu.

Ociężałość, zawroty głowy złe samopoczucie są wynikiem zaparcia stolca, jedyny niezawodny lek **Sól Morszyńska**

Dr. farm. K. WENDA

Apteka i Laboratorjum

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

WARSZAWA, Wronia 80, róg Leszna.

Filharmonja — „Wielki Gracz"

Historja życia dwóch chłopców—przyjaciół, wychowywanych pod jednym dachem, przyczem jeden z nich pracą, nauką od najmłodszych lat pnie się wzwyż po szczeblach karjery; drugi — jest graczem. W celi więziennej chwilę przed straceniem jeszcze będzie rzucał kości; lecz karta już się odwróciła, szczęście opuściło swego wiernego druha.

Przeciwległym torem toczy się życie przyjaciela - brata. Prawo, obowiązek, dobro publiczne — oto słowa, które są jedynym drogowskazem głośnego prawnika, potem prokuratora i gubernatora stanu.

I oto te dwie postaci spotkają się u stóp sprawiedliwości. Jeden jest oskarżonym, drugi oskarża. Co silniejsze: miłość braterska, czy obowiązek?

Autor scenarjusza dał bardzo ciekawe psychologicznie rozwiązanie tego konfliktu. Prawo przedewszystkiem, mówi prokurator, a i gracz rozumie, że jego gra życia jest przegrana. Trzeba płacić. Jest się przedewszystkiem graczem!

W rolach naczelnych ukazali się Clark Gable, doskonały w swej roli zarówno w scenach, gdy jest synem szczęścia, jak i w chwili, gdy padają ostatnie przegrane kości. Prokuratorem jest William Powell. Rolę kobiecą odegrała Hyrna Loy.

Film trzyma widza w dużem napięciu, akcja toczy się w wartkiem tempie. Niektóre momenty szczerze wzruszające, głęboko przemyślane przez reżysera i scenarzystę tego ciekawego filmu.

S. Kr.

PORADY KOSMETYCZNE

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

P. Janinie M. ze Lwowa. Praca Pani wymaga stałego narażania się na operację słoneczną. Aby ochronić skórę od zbytniego zaczerwienienia się pod wpływem słońca lub wiatru należy twarz i nieokryte części ciała posmarować Kremem Sportowym — Antiba. Jako bezglicerynowy krem lekko przetłuszczony nadaje się znakomicie pod puder oraz przyśpiesza równomierne opalanie się.

P. K. L. uczennicy szkoły baletowej z Łodzi. Zbyteczne włosy nie niszcząc naskórka usuwa w kilka minut „Pilocid-Antiba" depilatoir w proszku. Opalenie się na piękny bronz przyspiesza olejek Negro-Antiba.

„Lekkomyślnej". Tylko troskliwe i regularne pielęgnowanie jamy ustnej może Pani dopomóc. Dentysta musi usunąć większe naloty kamienia nazębnego. O ile emalja nie jest uszkodzona, trzykrotne mycie zębów w ciągu dnia pastą „Dentosan" wybieli Pani zęby. Dziąsła wzmocnią się przez płukanie wodą z kilkoma kroplami eliksiru „Dentosan".

WYSTAWA ŚWIATOWA W PARYŻU

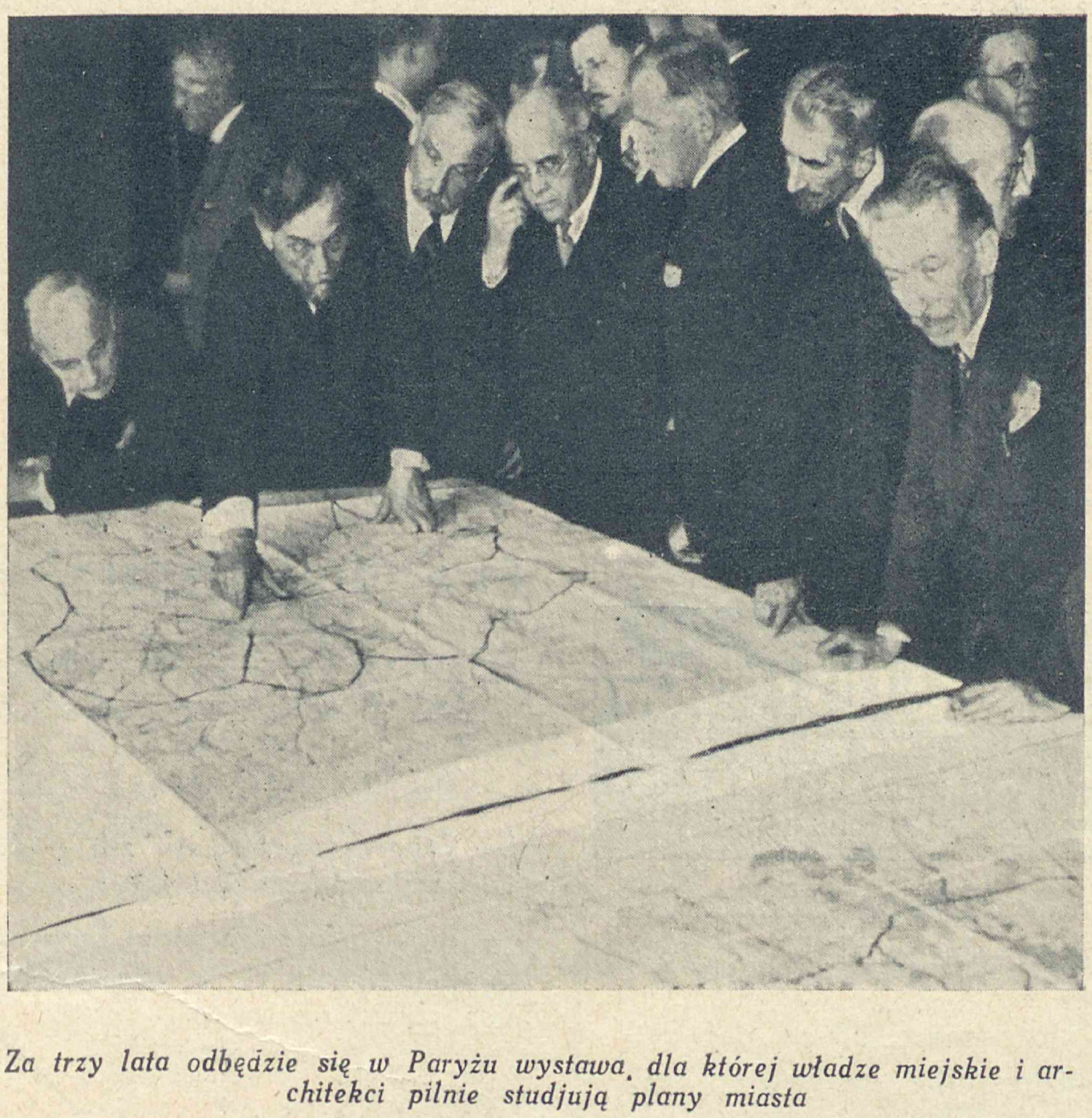

Za trzy lata odbędzie się w Paryżu wystawa, dla której władze miejskie i architekci pilnie studjują plany miasta

BEZSENNOŚĆ

WYNISZCZA ORGANIZM

a powstaje głównie wskutek zaburzeń układu nerwowego. Zioła Magistra Wolskiego „Pasiverosa" zawierające „Kwiat Męki Pańskiej" (Passiflora), łagodzą zaburzenia systemu nerwowego (nerwicę serca, bóle głowy, histerję) sprowadzają krzepiący sen, i doprowadzają system nerwowy do stanu normalnego.

ZIOŁA ze znak. ochr. **„PASIVEROSA"**

do nabycia w aptekach i drogerjach (składach aptecznych).

Wytwórnia **Magister E. WOLSKI, Warszawa. Złota 14, m 1.**

WYCIECZKI PIESZE DLA RADJOSŁUCHACZÓW

W ślad za wycieczkami kolarskiemi, które cieszą się wielkiem powodzeniem wśród radjosłuchaczów, Polskie Radjo organizuje obecnie nową atrakcję dla swych radjoabonentów. Będą to wycieczki piesze w okolice Warszawy, które odbywać się będą co niedzielę, poczynając od dnia 16 września. W dniu tym zbiórkę dla uczestników wycieczki oznacza Polskie Radjo na ostatnim przystanku tramwajowym numeru *15A* koło Instytutu Wychowania Fizycznego na Bielanach o godz. 9.30. Inicjatorem tych wycieczek jest inż. Adwin Ludwik. Szczegółów bliższych o tej wycieczce udzielać będą „Wiadomości Sportowe" Polskiego Radja, nadawane codziennie o godz. 19.50. Co do dalszych wycieczek, które narciarskie, informować będą również z nastaniem zimy zmienią się w spacery „Wiadomości Sportowe".

MYDEŁKO DO ZĘBOW
PASTA NA ELIKSIRZE
CHERYS
POWSZECHNIE ZNANEJ DOSKONAŁOŚCI

ZIOŁA
„CHOLEKINAZA"
H. NIEMOJEWSKIEGO
WSKAZANIA:
Kamienie żółciowe, choroby wątroby, chroniczne zaparcia, artretyzm, choroby na tle wadliwej przemiany materji.
sprzedaż: Labor. fizj.-chem. „Cholekinaza", Warszawa, Nowy Świat Nr. 5 tel. 9-74-96.
oraz we wszystkich aptekach i składach aptecznych.
Broszury wysyła laborat. fizj.-chem. „Cholekinaza" Nowy Swiat Nr. 5, Warszawa.

CO NIOSĄ FALE RADJOWE?

„KRAINA UŚMIECHU" — OPERETKA LEHARA
wtorek — godz. 20.00.

„Stulecie Cytadeli"
odczyt — piątek — 18.45.

Chór Dana
piątek — 19.30.

Irena Dubiska
piątek — 20.00.

Mieczysław Fogg
sobota — 20.00.

„Kobieta w złem świetle" w „Loży szyderców" Teatr Wyobraźni.
sobota — 23.05.

Edward Bender
niedziela — 16.20.

„Moralność pani Dulskiej"
słuchowisko — niedziela — 18.00.

„O nieznanem Podhalu"
niedziela — 13.00.

Emma Szabrańska
poniedziałek — 17.00.

Janusz Stępowski o wybuchu wojny
wtorek — 18.45.

„Wśród śnieżnych olbrzymów" reportaż muzyczny
środa — 16.00.

Leon Wyrwicz
czwartek — 20.00.

„Sztuczni bracia Sjamscy" report. z prac. biologicznej
czwartek — 21.45.

„Ludwik XI" — K. Delavigne w Teatrze Wyobraźni"
czwartek — 17.00.

FABRYKA TRYKOTAŻY
JAN MATUSZEWSKI
magazyny detaliczne
102 MARSZAŁKOWSKA 154
33 CHMIELNA, 40 NOWY ŚWIAT

Do numeru 36-go dołączyliśmy dla wszystkich naszych prenumeratorów jako bezpłatne premjum książkowe powieść

A. CHRISTIE
„Człowiek w bronzowym garniturze"

Anegdoty teatralne

Pytano raz Bolesława Leszczyńskiego, czy długo uczy się roli, a on odparł po namyśle:

— Hm... to zależy...

— Zapewne od wielkości roli — domyśla się rozmówca.

— Nie — odpowiada wielki Leszcz — to zależy od tego, czy tę rolę potem umiem, czy jej nie umiem.

* * *

Rufin Morozowicz, słynny komik operetki warszawskiej, znany był z tego, że nie rozstawał się na ulicy z parasolem. Mimo najpiękniejszej pogody, Rufcio, wychodząc z domu, przewieszał przez rękę swój odwieczny deszczochron. Ktoś u Semadeniego, gdzie Morozowicz był jednym z najstalszych „sztamgastów", zapytał go z uśmiechem:

— Ciekaw jestem, czy też mistrz kiedykolwiek zapomniał parasola?

— Owszem, raz... — odparł komik ze swą ponurą miną, — kiedy mi w „Gejszy" ten gapa rekwizytor nie podał parasola przed wejściem na scenę.

PRZYBORY PODRÓŻNE
GALANTERJA SKÓRZANA
J. KUCZMIEROWSKI
108 MARSZAŁKOWSKA 108

Siwe włosy rzadko kiedy zdobią, ale zawsze wskazują na zbliżającą się starość! Należy tego unikać. Trzeba młodo wyglądać, aby osiągnąć powodzenie w życiu.
Znany środek **„Orientine"** przywraca siwym, lub wyblakłym włosom pierwotny, zupełnie naturalny kolor, połysk i miękkość bez szkody dla zdrowia. Sposób użycia b. prosty, nie wymaga obcej pomocy, a więc jest dyskretny i niedrogi. Przy stosowaniu **„Orientine"** można używać wszelkie kosmetyki, jak również wieczną ondulację.
Wszędzie do nabycia.
„PARFUMERIE d'ORIENT" (R. Ostrowski) Sp. Akc.

PIERWSZA LECZNICA
Kosmetyczna i Chorób Włosów
Dr. med. M. Biernackiej i Dyr. I. Kisielewskiej
Warszawa, Szopena 16.

JEDYNY PRZYJACIEL
który nigdy
NIE ZAWODZI
to oryginalne
„OLLA"

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 75 (365) Zadanie kolumnowe

Ułożyła Stefanja Majewska

(Za rozwiązanie 7 punktów)

1		-		-	
2		-		-	
3		-		-	
4		-		-	
5		-		-	
6		-		-	
7		-		-	
8		-		-	
9		-		-	
10		-		-	
11		-		-	
12		-		-	
13		-		-	
14		-		-	
15		-		-	
16		-		-	
17		-		-	
18		-		-	
19		-		-	
20		-		-	
21		-		-	
22		-		-	
23		-		-	
24		-		-	
25		-		-	
26		-		-	

W daną figurę należy wpisać 26 pięcioliterowych wyrazów poziomych o podanem znaczeniu. Kolumny pionowe: druga i czwarta — dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Oznaczenie wartości jakiejś rzeczy, 2) Odgłos chłeptania jakiegoś płynu. 3) Pełnomocnik, 4) Otrzaskani, oswojeni z czemś (c = ć), (wspak). 5) Pomieszanie umysłu. 6) Ucieczka drobnemi krokami. 7) Rysa, blizna. 8) Wyznawca pewnego kierunku filozoficznego. 9) Część kwiatu lub krzewu. 10) Drzewo z rodziny wierzbowatych (s = ś). 11) Walka. 12) Ptak wróblowaty. 13) Duża kromka, glon. 14) Postronek z pętlą. 15) Lektyka. 16) Ptaki czaplowate, żyjące w Afryce północnej. 17) Lewy dop.yw Dniepru. 18) Rzemieślnik. 19) Kamień półszlachetny. 20) Miasto w południowej Rosji. 21) Rzeka w Syberji. 22) Nogi zająca. 23) Kogut. 24) Sprawiała ból kolący. 25) Odłożenie, zwłoka. 26) Oszuka, otumani.

№ 76 (366) Zamazany rękopis

(Za rozwiązanie 7 punktów)

J . . d . . . wa p . . c . . str . , , ż . . . ś m . . . t . . . nie, . .k . . cher . . je ch . . . aż . . m t . . . . , el , , , , . . łon . . . . na i sz , , , , lin . , cien . ,, W . . ma . . . snę . . s . . . o . nie . esi . . . ,, Z . . . rane . . . . ar . . . ból . . . . oły, z . zwie . . . . emi . .ón.. , , ają , rzy , nie, Prze . . . błe . ine . . . ocą . a zi . . . . . s . . , , , bok , , . . ar . . o . . . doły . lep . . . ą w , m . . . . iedy . . mnie . . ść , , oni , w , , . . u i . . .tem . o . .ala, To . . ść . . k .łacz. i . . k s , , , żal. . ie . . m . . czen . . . z . . , , czen . . . . k on.

Kropki zastąpić literami, a otrzymamy fragment znanego wiersza Leopolda Staffa.

77 (367) Metamorfozy

Ułożył Jan Gabrysiak

(Za rozwiąznaie 5 punktów)

W zdaniach:

1) ...A TE FORD DA CIOCI, RZECZE SIOSTRA,
2) BIEDNE, BŁOGOSŁAWIONE CZYNY ZOMERA,
3) DOBRZY DOJADACZE OCZU PIĘKNEJ TURCZY

poprzestawiać litery w ten sposób, aby powstały trzy znane przysłowia polskie.

Rozwiązanie zadań

Nr. 65 (355) REBUSOGRAF

Znaczenie rysunków: MOJRY, REBUS, JEŻYNA, BĄK, SZYSZKI, LEDA, POSĄG, RZĘSIELNICA, ŁOŚ, STRZEMIĘ, AGATINA, RE, JAJO.

Rozwiązanie: MUZYK ZMIESZA ORKIESTRĘ NAJLEPIEJ DOBRANĄ, JEŚLI GRAJĄC STARA SIĘ, ŻEBY GO SŁYSZANO".

Nr. 66 (356) METAMORFOZY

1) PODCZAS WOJNY MILCZĄ PRAWA,
2) PO NITCE DO KŁĘBKA DOCHODZĄ,
3) PIJĄC CUDZE ZDROWIE, TRACIMY SWOJE.

Trafne rozwiązanie zadań Nr. 56 — 66 (łączna ilość 18 punktów) nadesłali:

N. K. Kozłowski. Z. Tietz, Kazimierz Lilpop, Marja Strubel, Antoni Bucelski. Henryk Silczyński. Czesław Kozłowski, Romuald Żak, Feliks Kowalski, Zygmunt Słowikowski. Dorota Herbstmanónwa, Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin), Władysław Stock (Pińsk), Baśka Żulińska (Częstochowa), Jan Rudziński (Kalisz), Helena Millerowa (Kraków), Ksawery Faliński, J. Zbyszewski (Krąków), Antonina Solecka, Wiktor Rawicz, Tadeusz Pomianowski, Feliks Siedlecki, (Poznań), Gertruda Wolska, Jan Kowalski, Henryk Ostrowski, Tadeusz Ritter, Zofja Górska, Jerzy Halski, Tadeusz Noskowski, Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański, Karol Waldenberg (Łódź), Janina Rowińska, Henryk Walewski (Lwów).

NAGRODY OTRZYMALI:

Tadeusz Pomianowski (Warszaw) — książkę.

Cecylja Lewandowska (Wasrzawa) — książkę.

ODPOWIEDZI KIEROWNIKA DZIAŁU:

WP. Jadwiga Kwiekowa z Dobrzelina. Za trafne rozwiązanie zadań 59—65 należną ilość punktów zaliczamy.

WP. Dorota Herbstmanówna. Przez pomyłkę opuszczono nazwisko Pani w spisie rozwiązujących zadania Nr. 62—64 Należne punkty zaliczamy.

Straż ochotnicza złożona z księży Salezjanów

SAMOCHODY RENAULT

MODEL

NERVASPORT

NOWY TRYUMF
TECHNIKI FRANCUSKIEJ
TRZY REKORDY ŚWIATOWE

48 GODZIN JAZDY 167,445 KLM. NA GODZINĘ

REKORD ŚWIATA NA 4000 MIL
REKORD ŚWIATA NA 5000 MIL
REKORD ŚWIATA NA 48 GODZ.

OSTATNIE MODELE **VIVASTELLA**
I **VIVAQUATRE**

szybkie, komfortowe, zwyciężają złe drogi.

CENY OGŁOSZEŃ W „ŚWIECIE"

Okładka I tyt. Zł. 700.—.
„ II „ 600.—, 1/2 300, 1/4 150.—, 1/8 75
„ III „ 600.—, 1/2 300, 1/4 150.—, 1/8 75
„ IV „ 600.—, 1/2 300,
Za tekstem . . . . . Zł. 600, 1/2 300.—, 1/4 150

Ogł. w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej
Dział Tam Kupujcie za 1 mil. szerok. jednej szpalty 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za
1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.
KONTO P. K. O. 3.755

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa